

## Wiosny i jesienie

– Wygrałam zakład, dozorca poznał cię od razu. Nie taki z niego niezguła, jak opisywałaś. Wciąż jesteś młodą i piękną kobietą, mamó. Taką cię zapamiętał.

– Ciszej, *ma chérie*, pewnie stoi pod drzwiami i podsłuchuje. Wygrałaś. Myślałam, że chociaż ten kapelusz go zmyli. Minęło ponad dwadzieścia lat, a mieszkałam tu tylko półtora miesiąca. Tak czy owak, stawiam obiad, w „Nadrzecznej” – jeśli jeszcze jest, dużo tu się pozmieniało od tamtego czasu; wtedy była to najlepsza restauracja w mieście, Gejer mnie tam zaprosił... – Dominika pokręciła głową: – Ten dozorca, Arek, nie wypuszczał z rąk miotły i ścierki i wciąż wpatrywał się w podłogę, jeśli akurat nie wymieniał żarówki albo nie naprawiał klamki. Pani Lipowicz, właścicielka domu, bezustannie go poganiała. Muszę przyznać, że dbała o dom i mieszkańcy nie mogli narzekać, chyba że na czynsze – rozejrzała się po klatce schodowej – widać syn nie odziedziczył po niej zamiłowania do porządku. Podobno rzadko tu bywa. Już wtedy, przed laty, źle się zapowiadał.

Spojrzała na pokaźny pęk kluczy, który wręczył im dozorca:

– Pamiętam je, wisały po drugiej stronie... przegrody. W drzwiach były trzy zwykłe zamki, zasuwka i jeszcze łańcuch. Nie takie znów zwykłe zamki, jeden z kluczy uruchamiał specjalny mechanizm blokady, na krzyż: góra – dół – prawa – lewa. Izraelski patent. No, moja panno, pora na górę. Słyszałaś: „Winda zepsuta, toć zawsze było z nią coś nie tak. Może właściciel kiedy naprawi, ale kto go tam wie” – wychrypiała, naśladując głos Arkadiusza. – Trzecie piętro, w korytarzu na prawo. Musimy jeszcze poczekać z pięć–dziesięć minut. Mieszkanie zabezpieczono, człowiek z sądu ma zjawić się punkt druga. No tak, przecież wiesz. Idź pierwsza, a ja powoli za tobą i będę się zastanawiała po raz kolejny, na co mi to potrzebne. Uważaj, nie pobrudź płaszczka, straszny tu kurz, a schody wąskie, wąziutkie, chociaż ta kamienica ma nie więcej niż sto lat; jest, jak pamiętam, z początku tamtego wieku. Czy tu kto jeszcze mieszka? Podobno na drugim piętrze dwie rodziny – odpowiedziała sama sobie. – Notariusz mówił mi, że w oficynie nikt nie chce teraz wynajmować mieszkań. Ot, recesja, no i te warunki. Może gdyby polepszono standard... Cóż, chodźmy, nie nasz to problem.

List z sądu rejonowego w Radzyniu był przecież zaskoczeniem. Radzyń... Raz jeden przyjechała tu później, po paru latach od tamtych wydarzeń, bardziej przez wzgląd na córkę; odwiedziny wywołały sporo niepotrzebnych wspomnień. I wzruszeń. A teraz znowu.

„Zaginiona Hanna Żmigrodzka uczyniła Panią swoją spadkobierczynią. W świetle obowiązujących przepisów... Pozostawiony majątek ruchomy zgromadzony jest i zabezpieczony w mieszkaniu przy ul. Kościelnej Tylnej 3a/11, które Hanna Żmigrodzka wynajmowała od Lipowicza Karola, a wcześniej jego matki, Lipowicz Grażyny. Prosimy stawić się w tut. sądzie i złożyć oświadczenie co do... Prosimy również o kontakt z kancelarią notarialną...”. I tak dalej, i tak dalej.

Wypisała sobie parę dni urlopu („przedstawienie dopięte, Dorota wszystkiego dopilnuje, po cóż to odkładać”), zadzwoniła do córki: „Sama – kochanie – nie dam rady przez to przebrnąć. Potrzebuję twojego wsparcia. Odwiedzimy przy okazji kilka miejsc, dręczy mnie od dawna myśl, że tak to zaniedbałyśmy, ale bez widocznej przyczyny za nic bym tam nic pojechała. Niestety teraz jest taka przyczyna. Mogłabym nie przyjąć tego „spadku”, ale Niebiosa by mnie pokarały. Powiedziałam: ‘Niebiosa’? Niebo, Niebo by mnie pokarało. To jak? Kiedy wyruszamy? Tyś przecież poniekąd także w to uwikłana”.

Potknęła się na wysokim progu w ciasnym przejściu, które prowadziło na korytarz. Drzwi skrzypiały, obracając się niechętnie na jednym zawiasie. Korytarz był ciemny („mogliby przynajmniej wymienić żarówkę w lampie”), wysoko osadzone, małe, przybrudzone okno wpuszczało niewiele światła. Słońce, które szeroko rozlewało się na kamieniach kościelnego placu i dachach sąsiednich domów, nie miało dość odwagi, czy raczej bezczelności, aby i tu rezydować. „Poniekąd słusznie. A kiedyś było tak: na lewo radca, dalej stary Gejer, po prawej Hanna, no i ja. Teraz chyba nie mieszka nikt, po cóż więc marnować drogocenną energię”.

Raz-dwa, bom-bom. Cząsteczki kurzu podskoczyły i przepłynęły po nikłym promieniu od okna do ściany. Druga. Dzwon na wieży. Wzdrygnęła się, a jeśli naprawdę dodali czegoś do spizu? Ton był piękny – czysty, klarowny. Głos dzwonu rozpływał się powoli, jakby wsiąkał w rozgrzane mury domu. „Jaka tu cisza, tylko te wszystkie drzwi szepczą i coś łagodnie szumi w ścianie. W mieszkaniu radcy. Co mi chcecie powiedzieć? Że lepiej mi było pozostać tam, skąd przyjechałam?”.

– Niech pan jeszcze chwilę poczeka... nie, niechże pan już idzie – Dominika patrzyła niezdecydowana na drzwi mieszkania pani Hanny i na urzędnika sądowego. – Pieczęcie nienaruszone, więc chyba wszystko w porządku. Damy sobie radę, w razie czego poprosimy o pomoc ciecia.

Wyszła na klatkę, wychyliła się przez poręcz, zwinęła rękę w trąbkę i krzyknęła w dół:

– Panie Arku! Panie Arkadiuszu! Hop, hoop! Wchodzimy! Wchodzimy do mieszkania – wróciła na korytarz (drzwi oczywiście znów skrzypnęły żałośnie), spojrzała na córkę i

człowieka z sądu. – Nie odpowiada. Głuchy czy co? W takim razie niech pan jeszcze zostanie – po raz kolejny zmieniła zdanie. – Ma pan chyba trochę czasu, co? To przecież wasz obowiązek pomagać ludziom.

Stała bezradnie przed drzwiami.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje... Boję się – wyszeptała. – Czego ja się boję? Że oni tam wszyscy będą? Nie, to absurd. To absurd! – krzyknęła i tupnęła nogą. – Jestem racjonalistką, logiczną i zimną, prawda córeczko? – utkwiała wzrok w dziewczynie.

– Tak, mamo. Jesteś trzeźwą, higieniczną racjonalistką, do tego upartą, konsekwentną feministką, a te, jak wiadomo, nie ulegają irracjonalnym lękom. I – Bóg mi świadkiem – nie wiem, co się z tobą dzieje. Przestań histeryzować i otwieraj drzwi. Mam nadzieję, że nie ma alarmu, bo postawimy na nogi cały ten... Radzyń.

Dominika przeczesала palcami krótkie włosy i spojrzała na klucze:

– Ten duży jest od zamka z blokadą, tak sędzę. Zgadza się. A ten płaski powinien być od zasuw. O, nie zamknięto jej. Oj, wy urzędnicy – spojrzała ponuro na człowieka z sądu, który stał w bezpiecznej odległości, wystraszony i przestępował z nogi na nogę. – Nie – odpowiedziała córce – alarmu nie było. Mógłby zirytować pana Lu. Jej mopsa, jej psa – wytłumaczyła. – Chyba że potem coś zainstalowała. Miejmy nadzieję, że nie.

– Nie ma alarmu, pani Niko. W każdym razie ja nic o tym nie wiem – na korytarzu pojawił się nieoczekiwanie Arkadiusz, dozorca. – Czy pani wie, że ona zniknęła, w y p a r o w a ł a? Jak kamfora. Jak kamfora – powtórzył. Policja twierdzi, że się utopiła. Pewnie i tak było, ale kto tam wie? Różnie gadają. Niektóre, że odleciała na księżyc. Głupie te ludzie, toć połowa wieku za pasem. Tak se myślę, że zwyczajnie, wyszła raz wieczorem z domu, a że nie pamiętała dobrze okolicy i stara już była (dobrze ponad osiemdziesiąt, niewiele mniej niż nasza pani Justyna), zaszła na tę stromiznę nad rzeką i tyle ją Radzyń widział. Prąd tu silny, to ją zniosło niżej. A tam przy brzegu szuwały. Pewno na następny rok ją znajdą – postukał miotłą o podłogę. – Znajdą nadjedzoną przez węgorze. Bo my tu mamy węgorze, proszę panienki. Duże i tłuste. Jakby co, to niezguła może załatwić dobrze uwędzonego, niedrogo – uśmiechnął się chytrze i znowu popukał miotłą.

„Jednak nie jest głuchy. Po co mu ta miotła? Chce zamiatać mieszkanie Hani?”. Dominika spojrzała na towarzyszy i podjęła decyzję.

– Żegnam panów. Nic tu po was. Damy sobie z córką radę. No, już was nie ma – odprowadziła ich wzrokiem. – Uważaj *cherie*, zaraz za drzwiami jest przegroda, taka ni to ścianka, ni parawan. Nie nabij sobie guza. Duchy nie chodzą zygzakami, więc nie ma – poprawiła się – nie było obawy, że pokonają zaporę. Mam na myśli złe duchy, te dobre są

zawsze w domu mile widziane. Nie patrz na mnie jak na idiotkę. Wchodzisz do innego świata. I wcale nie głupszego niż ten nasz, choć pozory czasem mylą. Więc odrzuć, moja droga, maskę tego prześmiewcy, pana Woltera, oraz jego wszystkich przyjaciół i krewnych.

Podłogę i meble ktoś życzliwy poprzykrywał prześcieradłami. Również na ścianach tu i ówdzie wisiały białe płachty. Ciężkie pluszowe kotary wzbraniały światłu dostępu do mieszkania, było tu jeszcze ciemniej niż na korytarzu. Gdźniedzie tylko słabo przeświecała wytarta materia grubej tkaniny. Cienie kobiet ślizgały się po gładkich powierzchniach ścian, załamywały na krawędziach białych przestrzennych figur, przeskakiwały między nimi i niezgrabnie tańczyły na suficie nad żyrandolem ze szklanych paciorków.

– Ale tu przynajmniej coś możemy na ten mrok poradzić – Dominika podeszła do dużego okna, odsunęła story i z niejakim trudem uchyliła jedno skrzydło. Założę się, że tyle powietrza naraz nigdy do tego mieszkania nie wpadło – odetchnęła głęboko i oparła się o parapet. – Już się bałam, że umrzemy od tego zaduchu. – Tego mi nie potrafiła wyjaśnić. Wiatr to przecież pokarm... No tak, ale wiatr to równocześnie tchnienie świata, świata, z którym nie chciała już mieć nic wspólnego. Miała zresztą swoje sposoby; przy jej niewielkich potrzebach...

Słońce teraz oślepiało. Dominika zmrużyła oczy, usiłując rozejrzeć się po pokoju. Blask był tak silny, jak wcześniej głęboka ciemność. Przymknęła po chwili powieki, widziała teraz przedmioty takimi, jakimi je zapamiętała przed wielu laty. Pod jedną ścianą kanapa z ratanu, ustawiona pod wysokim bambusem (jakże się uchowałeś, stary? Chyba cię ktoś podlewał), który obejmował ją swymi rozcapierzonymi palcami, po przeciwnej stronie siostry-bliźniaczki, dwie serwantki z porcelaną i filigranowa szklana etażerka na wyroby z laki, z czerwonej laki (czarnej Hanna nie cenila), niski ratanowy stolik ze szklanym blatem i takie same ażurowe foteliki, schowane w wykuszu, wychodzącym na podwórko, w końcu duża owalna mata na środku pokoju. Jeszcze na nóżce pod oknem druciana okrągła klatka, pusta. W tych najważniejszych chwilach zabrakło cesarskiego śpiewaka? Przyzwyczała się już do ostrego światła, czytała meble i sprzęty z ich kształtów, jej wzrok zatrzymywał się na rysunkach i obrazach, skrytych jeszcze pod jednakowymi kawałkami białego płótna, ale budzących się leniwie z uśpienia i usiłującymi przypomnieć sobie czas, gdy ta kobieta stała tak samo, oparta o parapet, i coś wesoło mówiła do ich pani, pani zaś gładziła pomarszczoną skórę małego psa, kręciła przecząco głową, pijąc nerwowo, pospiesznie, jak to ona, kolejny maleńki łyk ciemnego, aromatycznego płynu z bladoseledynowej filiżanki, a między pokojami przesuwiał się bezszelestnie ten, który zawsze opiekuje się schronieniem dobrych ludzi i zwierząt.

– Hej, Zao Wang, jesteś tu, przecież czuję. Nie odszedłeś, na coś czekasz? – Dominika nagle roześmiała się, głośno i serdecznie – zły nastrój minął. – Pozdejmujemy teraz te okropne, szpitalne prześcieradła, zobaczymy, czy jest woda, powycieramy kurze i umyjemy podłogi. Może został gdzieś jaki płyn lub proszek. Uważaj tylko na meble, rysunki, figurki – do czyszczenia służy specjalna miotłka, o ile pamiętam, Hanna trzymała ją w kuchni, na półce nad stołem. I, broń Boże, nie ruszaj szafek i serwantek, odkurzę je sama; porcelana jest bardzo krucha, to nie fajans czy byle kamionka. Już ja wiem! Oj, wiem... Nie, tego nie używaj – Dominika westchnęła na widok córki, stojącej w drzwiach z dużą miotłą w kształcie liści bambusa. – Oni podobno i dzisiaj posługują się czymś takim, ale wznoszą tylko tumany kurzu w powietrze, a nie sprzątają naprawdę. Ot, jedna z żelaznych reguł tej cywilizacji. Nie zmieniać tego, co ktoś wymyślił i uznał za dobre, nawet jeśli to coś dobre nie jest. A gdy (bo i tak bywało) to coś okazało się dobre i użyteczne, wówczas gałąź postępu w tym miejscu całkiem usychała. Aha, poszukaj skrzynki z bezpiecznikami i włącz prąd. Pamiętaj, że trzy poziomy niżej czuwa i czeka na każdy nasz sygnał sierzant-szef tego domu, jego prawdziwy duch opiekuńczy. Bez obrazy – rozejrzała się wokół – miły Zao Wang, bez obrazy.

Krzętały się dobre dwie godziny.

„Nie wyrzucaj tych potłuczonych miseczek! I nie wychylaj się tak, to jednak wysokie trzecie piętro! Stawiała je (były wtedy całe) na parapecie pod prowizorycznym okapem i zbierała do nich rosę. Rosę, rosę. Mędrzec, który chce osiągnąć... otóż prawdziwy mędrzec żywi się wiatrem i rosą. Wtedy już nic nie je, tylko rosa i wiatr. Ścisła dieta, niech tysiąc kalorii schowa się i płacze. O ile pamiętam, starsza pani jednak coś jadła. Umyj żyrandol, tylko ostrożnie; wejdź na krzesło, drabiny raczej nie ma. ... A to, córeczko, pojemnik na... fallusa. Na fallusa, który oczywiście był u nich przedmiotem kultu, jak w wielu dawnych kulturach. W naszej cywilizacji chyba też jest... Tak zwany *zong*. Ale, pamiętam, że Hanna miała w tej materii spore wątpliwości. Ona była bardzo purytańska – ‘starej daty’ to chyba lepsze słowo – i te interpretacje wprawiały ją w zakłopotanie. ‘Co do *zonga*, to zdania są podzielone’. Widać, że ten skrywał egzemplarz całkiem słusznych rozmiarów. No, co się tak patrzysz? ‘P!’, tyle ci powiem, jak ów marszałek, ‘a to przecież nic nie znaczy’. No, miałam swoje źródła informacji, moja panno. Lepiej pozamiataj pod szafami w przedpokoju, tam musi być tona kurzu. ... Justyna? Ta, o której mówił dozorca Arek? To siostra dawnej właścicielki. W kancelarii mówili mi, że żyje na łaskawym chlebie, który opłaca siostrzeniec, więc twardy i suchy musi to być chleb, a u staruszki zęby już nie swoje ... Tak, to feniks. Skąd u nich ten cudowny ptak? Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Ale to symbol małżeńskiej miłości. Tak bardzo jej pragnęła. ... Tygrys, cykada, kogut, żuraw, brzoskwinie i ci... jakże się oni

nazywają? wartownicy? nie, strażnicy, tak, strażnicy na obrazach – to wszystko symbole długiego, nawet wiecznego życia. Czemu? Nie, nie pytaj, nie teraz. Żurawia do dziś uważa się za ptaka żyjącego setki, tysiące lat... Chodź tutaj, nie umiem otworzyć tej skrzyni, chyba zamek się zaciął. Tak, ona spała na takim twardym łóżku. Co tam jest? Zobaczmy, nigdy nie widziałam. Aaa, materac z trawy morskiej. Jaki cienki. Widzisz, to też miało znaczenie. Jak rosa czy tygrys. Przyniosę jeszcze wiadro wody z płynem, ta tłusta plama koło nocnej szafki za nic nie chce się poddać. Opowiadała mi kiedyś historię pewnego skośnookiego dżentelmena, który, będąc w delegacji służbowej, nocował w hotelu. Długo wiercił się i kręcił, przewracał z boku na bok, a sen nie przychodził. W końcu położył się na podłodze i dopiero wtedy usnął. Nie, my nie będziemy tu spały. Nie mogłabym, i to nie tylko z powodu tego materaca. W tamtym małym pokoju, na pawlaczku były dwie grube zrolowane karimaty. Kiedyś na nich spałam. Tak, spędziłam tu jedną czy dwie noce. Czemu? Bo tak bardzo się bała. Czego? Śmierci, córeczko. Śmierci, która by ją od niego oddzieliła. Bo on nie umarł. Tak wierzyła. On? Jej ukochany. ... Nie znalazłaś jakiegoś listu do mnie, kartki, chociaż jednego zdania? Nic? A mała bladozielona filiżanka? Nie widziałaś takiej? Nie ma jej w serwantkach, nie ma na stolikach, nie ma jej też w kuchni. Gdzie ona może być?”

– „Nadrzeczna” to już nie to, co dawniej. Żeby tak długo obsługiwać gości! I moje mięso było łykowate. Ty, jak zwykle, znowu miałaś więcej szczęścia. Tyle razy powtarzam sobie, żeby nie brać wołowiny i zawsze mnie coś skusi. „Wołowina po radzyńsku w czterech kolorach”. Bzdura! Powinna się nazywać: „W jednej twardości”. Teraz zapalimy świeczkę Zao Wangowi, żeby miał nas w dobrej opiece, zaparzemy sobie herbatę – na pewno jest tu okazały zapas – i obejrzymy te wszystkie piękne przedmioty. Jest co oglądać, uwierz mi, *cherie*. No i co dalej? Pozostaje czekać. „Do następnego roku”? Okropność.

Po powrocie z obiadu siedziały w fotelach Hani i sęczyły mocną zieloną herbatę.

– Upijemy się na wesoło herbatą, „co jest prawdziwie ich obyczajem”. Nie przypuszczasz chyba, by ktoś taki, jak Hanna, pił coś innego? – Dominika przeglądała jakieś papiery i kątem oka patrzyła na córkę, która przed chwilą przeszukała wszystkie szafki w poszukiwaniu kawy. – Ublizasz Bodhisattwie, a co najmniej lekceważysz jego wkład do cywilizacji. Poza tym kawa jużby dawno zwietrzała albo zapleśniała. Minęło przecież ładnych kilka miesięcy od czasu, gdy zaginęła Hanna. Przyglądasz się smokowi? – wskazała na ścianę na wprost wejścia do pokoju. – Tak, ten smok jest błękitny. Błękitny smok oznacza miłosierdzie. I jest symbolem dobrej siły *yang*. Są też smoki niebieskie, zielone, białe, czerwone, żółte, nie wiem, czy są czarne. Wstała i podeszła do skrzydlatego gada, namalowanego na kawałku jedwabiu;

materiał rozciągnięto pomiędzy dwoma bambusowymi pędami. – Ich smoki są dobre, smok to symbol rozkwitu, pokoju i pomyślności. Przeciwnie do złych smoków naszej kultury. Pamiętasz podstępnego, obrzydliwie bogatego smoka Smauga, którego pragnie zniszczyć dzielny hobbit Bilbo? A nasz smok wawelski, który pożerał biedne krakowskie dziewice? Smoki z kraju dwóch rzek są inne, dobre: na przykład przynoszą deszcz, deszcz to dobrobyt, a dobrobyt to podstawa szczęścia – pogładziła pieszczotliwie połyskliwą szyję stwora. – Ten jest kanoniczny, poza... uszami. Ma głowę wielbłąda, rogi jelenia, oczy demona, szyję węża, tułów? – zaraz, zaraz – tułów żółwia, łapy tygrysa, szpony orła czy jastrzębia, ale uszy psa! A powinien mieć, no zgadnij? Byka. Uszy ich smok ma bycze. A w ogóle to on słyszy rogami, nie uszami. A człowiek myśli sercem. Wszystko na opak. To wiem od Hanny. Kochanej pani Hani, okrutnie krzywdzonej przez los. Ten smok ma psie uszy na cześć pana Lu. Bo smoka namalowała Hanna. Przy mnie. Czemu jest błękitny? To już trzeba poznać historię Hani. I jej Pawła. I paru innych ludzi, paskudnie wplątanych w to wszystko. Z powodu braku dostatecznej cnoty i pokory? Przez Dao-Zasadę, przez demony, złe duchy, przez ludzką głupotę lub, wedle naszych pojęć, przez ślepy Los. *Acme*. Fatum. Jak wolisz. Nalej mi jeszcze jedną filiżankę, kochana. Bym mogła czuć, jak tamten.

\*

Nie opowiadałam o tych wydarzeniach, chociaż prosiłaś. Przez te lata sądziłam, że lepiej jest pozostawić rzeczy tak, jak się same poukładały. Myślę jednak, że już nadszedł czas. Dzisiaj... dzisiaj stojąc pod drzwiami mieszkania Hanny, zrozumiałam, że już minęło dostatecznie dużo czasu i nikogo już nie skrzywdzę powrotem w przeszłość. Ani mnie też już nic nie zrani. Co najwyżej może trochę zboleć. Ból po wyrwaniu zęba wszakże mija.

Konkurs na organizację jazzowego festiwalu w Radzynie z okazji pięćsetlecia miasta i pięćdziesięciolecia Wyższej Szkoły Nauk Humanistycznych (drobne, niewinne oszustwo, przez dziesięć pierwszych lat Szkoła funkcjonowała jako skromna, peryferyjna filia Ujotu) wygrałam w grudniu, więc do początku majowej imprezy pozostawało nieco ponad pięć miesięcy. Dużo i mało. „550 jazzowych minut” plus owe pięć dawało razem 555. Ładna, magiczna liczba poila optymizmem, więc ostro ruszyłam z przygotowaniami. W lutym zamknięta już była lista artystów, a w marcu Dorota, jedyna wówczas osoba w firmie na etacie (poza mną), mogła już porozysłać umowy do trzech zagranicznych i trzech polskich kapel. Koncerty zaplanowałyśmy w odstępach tygodniowych, jednego wieczoru zespół nasz i z zagranicy; ostatni koncert na zakończenie, nie pamiętam już: dwu- albo trzydniowych

radzyńskich juwenaliów (była tu jeszcze wtedy mała uczelnia techniczna, nawet nie pamiętam jej nazwy, która podłączała się co roku do radosnych igr „Humanistów”).

Stareńki, ale krzepki Al Foster, który bębnił jeszcze z Milesem, Dave Douglas i jego elektronicznie wspomagany sekstet czy septet i przede wszystkim „Grubas” Joey De Francesco, jeden z wirtuozów odchodzących powoli w muzyczny niebyt organów Hammonda, dawali mi gwarancję powodzenia. Do tego młodzi freejazzowi chłopcy z Gdańska, dixielandowy, świeżo brzmiący big-band z Wrocławia i weteran Stańko z jakimś nowym składem. Miałam już za sobą kilka dużych przedsięwzięć, co najwyraźniej spodobało się promotorom i sponsorom przedsięwzięcia. „Co miesiąc jazzowa gwiazda” – to była moja przyzwoita wizytówka. Do tego kilkanaście objazdowych tras muzycznych, jakieś letnie ogródki i zimowe ogrody, nocne maratony, parę offowych przedstawień teatralnych, folkowy festiwal studencki. Tak to z grubsza wyglądało. Uzbierałam sobie całkiem przyzwoite *cv*, mimo kilku dopiero lat w branży. Panią rektor niepokoił co prawda mój mało poważny wygląd (nosiłam wtedy króciutkie jasne dredy z mnóstwem pozaplatanych w nie rzemyków, pepegi wiązałam do samych kolan, a boliwijskie poncha wkładałam na zmianę z derkami kanadyjskich Indian. Ha, te koce to był zupełny odlot, szkoda, że nie zostawiłam ani jednego; wszystko poszło do pomocy społecznej w trzydziestym pierwszym albo drugim – wtedy, gdy przeprowadzałyśmy się do naszego domu), ale parę rzeczowych rozmów, przedstawiony szczegółowy budżet, chirurgicznie precyzyjny harmonogram przygotowań przekonały ją chyba, że nie będzie wpadki i że podjęli z Magistratem dobrą decyzję.

Wyliczyłam, że na czysto powinnam zarobić jakieś pięć tysięcy euro. W tamtych latach – sporo pieniędzy. Dali mi zaliczkę, trochę kasy musiałam jednak wyłożyć (miałam jakieś niewielkie oszczędności, no i wsparł mnie Błażej, choć niechętnie przyjmowałam jego pomoc) – na przykład trzeba było wypożyczyć parę instrumentów; dobrych organów szukałam po całym kraju. Wrócę może do tego później, to ciekawa historia. Postanowiłam, że najlepiej będzie na miejscu dopilnować końcowych przygotowań, zostawiłam więc Dorę na gospodarstwie z poleceniem udzielania informacji wszystkim dzwoniącym, mailującym i faksującym, regularnego uzupełniania strony internetowej o nowe wieści oraz przyjmowania zagranicznych gwiazd na lotnisku w Balicach, i w połowie kwietnia zjechałam do Radzyna.

Błażej? Akurat wyjeżdżał do Londynu na jakieś negocjacje. Umówiliśmy się na poważną rozmowę po jego powrocie i zakończeniu imprezy w Radzynie. Tuż przed wyjazdem zadzwoniła jego kostyczna żona, chłodno powiadamiając mnie o jej całkowitym, zupełnym *déssintéressement* Błażem i jego życiowymi planami. Biedny Błażej. Czekало go więc niebawem parę rozczarowań. Bo przecież i ja... Kierownik wydziału kultury urzędu



miejskiego, jakże on się nazywał? jakieś zwierzę... nie kot, nie zając... wilk! Wilk, właśnie: Marcin Wilk, podpowiedział, że zamiast w hotelach (dość podłych i drogich) lepiej mi będzie wynająć małe, w miarę tanie, urządzone mieszkanie, gdzieś blisko parku, niedaleko festiwalowego amfiteatru. Takim to sposobem trafiłam tutaj. W dwutysięcznym piętnastym, dwudziestego kwietnia, około południa. Pamiętam dokładnie i godzinę, i datę.

Równo ćwierć wieku wcześniej, tuż przed dwunastą, Dominika zgasła silnik swojego sfatygowanego już nieco koreańczyka. Sprzedała go zresztą następnego roku, auto miało jakieś nieusuwalne problemy w układzie zawieszenia, pamiętkę po stłuczce, nieujawnionej przez sprzedawcę. Zaparkowała przy głównym trakcie Radzyna, u podnóża szerokich, krętych schodów, które prowadziły na kościelne wzgórze, wdrapała się na rozległy kamienny plac, przystając po drodze ze dwa razy i przyglądając się ruchliwej ulicy poniżej i zielono-niebieskiej plamie rozległego parku po jej drugiej stronie, z bielejącym zza drzew dużym budynkiem, chyba teatru, w końcu przysiadła trochę zmęczona pod wesołymi parasolkami małej kawiarni-lodziarni, schowanej w załomie postrzępionego muru, osłaniającego plac od zachodniej strony. Ze środka kawiarenki dobiegał nadawany przez radio hejnał, spojrzała odruchowo na kościelną wieżę – wskazówki zegara ustawiły się wyczekująco jedna na drugiej, ale dzwon kościelny nie odezwał się.

– Nie ma dzwonu, nie ma więc – że tak powiem – południa; starszy pan z laską, o zdobionej, wygiętej fantazyjnie główce, przystanął koło ogrodzenia otaczającego parasole. – Od dawna nie ma dzwonu na naszej kościelnej wieży. Dwa razy już bracia Fulińscy robili nowy odlew i dwa razy spiż im pękał. A to przecież najlepsi ludwisarze na Pogórze. Ludzie mówią, że przekleństwo jakieś ciąży na tym dzwonie i że jeden jest tylko sposób na to, a zna go podobno nasza Hanna. Kto wie, kto wie... To oczywiście bardzo prawdopodobne – mówił wolno, z krótkimi przerwami, wsłuchując się we własne słowa.

Spojrzał na dziewczynę:

– Zmierz pani na Kościelną Tylną? – zasłonił twarz dłonią, jakby bronił się przed niezadanyim pytaniem. – Niech pani posłucha: trzeba obejść kościół i już się jest na miejscu. Przepraszam, ale jestem na spacerze, w moim wieku należy przestrzegać zaleceń lekarzy i oddawać się uzdrawiającym – a jakże! a jakże! – ciało i duszę przechadzkom. Hanna tego nie rozumie, nasz pan radca także nie – dodał jeszcze, uklonił się i na odchodne dorzucił: – Do zobaczenia niebawem. Witamy w Radzynie.

Dominika odprowadziła go wzrokiem mały kawałek, wzruszyła ramionami i przywołała ręką kelnerkę. Zamówiła małą mocną kawę, wypila ją szybko, popiła zimną wodą i powędrowała w kierunku kościoła.

Żółta, kryta jaskrawoczerwonym dachem solidna mieszczańska kamienica przy Kościelnej Tylnej 3 była jedynym wysokim domem w tym kwartale. Czteropiętrowy budynek z oficyną stał tuż za kościelną wieżą, oddzielony od niej wąską uliczką (ową „Tylną”) i kawałkiem parafialnego ogrodu, obsadzonego śliwami, powykręcany już mocno przez starość. Drzewa jeszcze kwitły, ale bladoliliowe kwiaty zaczynały opadać. Wokół kamienicy rozłożyły się niewysokie, jedno- i dwupiętrowe mocno podniszczone domy, pochodzące najwyraźniej z innych czasów. „Hejnał z Krakowa jest tu całkiem na miejscu”, mruknęła i zanurzyła się w podcienia, które wyprowadziły ją na małe, wybrukowane jasnoczerwoną kostką podwórko. Szerokim kołem obeszła rachityczne drzewko, rosnące pośrodku, i stanęła przed wejściem. „Proszę jej szukać w oficynie, mieszka z siostrą i synem na ostatnim piętrze. Ma dla pani kwaterę”.

Grażyna Lipowicz, właścicielka, przyjęła ją oficjalnie, ale chyba bez uprzedzenia.

– Wiem, wiem, pan Marcin do mnie dzwonił. Kiedyś był podwładnym mojego, świętej pamięci, Henryka. Akurat mam jeden wolny a p a r t a m e n c i k. Na półtora miesiąca wynająć nie mogę, naprawdę. Utrzymanie domu tyle teraz kosztuje, a od kiedy mój drogi mąż nie żyje, sama wszystko muszę, ja, słaba kobieta... Zgódźmy się na dwa miesiące, to i tak bardzo krótko, nawet pościel mi się nie z a m o r t y z u j e, za to polecę panią w jadalni, mają domowe, smaczne i tanie obiady. Tu niedaleko, w prawo, od dołu patrząc, za pierwszym zakrętem kościelnych schodów. S k a l k u l u j e się to pani. O dzwonie już pani wie, akurat minęło południe, więc musiała pani dosłyszeć, że go nie ma. Albo nie dosłyszeć. Nie, to głupie, jakże to powiedzieć, Justysiu? – rzuciła pytanie w kierunku drugiego pokoju; oba pomieszczenia zaprojektowano w amfiladzie, szklane drzwi były rozsunięte, po chwili wysunął się z niego bezszelestnie wózek inwalidzki.

– Justyna, moja siostra, starsza siostra – podkreśliła pani Grażyna, przedstawiając osobę siedzącą na wózku i przykrytą ciepłym wełnianym kocem. – W m o i m domu mury są grube i zawsze panuje tu lekki chłód. Poza tym Justysia ma już swoje lata – wytłumaczyła koc siostry. – Justyna pracowała kiedyś na naszej uczelni – dodała z dumą.

– Nie przesadzaj, moja kochana. Byłam tylko kierowniczką biblioteki. Ale to było dawno, tak dawno – powiedziała smutno pani Justyna. – Czy pani wie, że kiedyś był tu uniwersytet, Uniwersytet Jagielloński? Zaczynałam pracę właśnie jeszcze na Jagiellonce. Ale później

Kraków się nas pozbył – jej głos zabrzmiał jeszcze smutniej. – A propos twojego pytania... Grażka zawsze zaskakuje mnie takimi językowymi problemami – wyjaśniła – to... to nie wiem – rozłożyła ręce (drżały mocno, jak i głowa; Dominika uważała, żeby nie przyglądać się starszej pani zbyt natarczywie). – Trzeba by chyba...

– Nie męczmy naszego gościa – pani Grażyna ujęła Dominikę pod ramię – pierwsze lody były przełamane. – Dominika? Będziemy mówić: „Nika”, dobrze? Napije się pani soku albo kawy i zje z nami kawałek ciasta? Nie, zróbmy tak: zaprowadzę panią najpierw do jej mieszkania, to piętro niżej. Dwa pokoje, kuchenka, łazienka. Nieduże, ale wygodne. Przyzwicie umeblowane, pralka, czajnik, komplet statków i radio. Zwykle jest wynajęte, ale teraz, c h w i l o w o – nie. Sąsiedzi niekrępujący – dodała pośpiesznie. – Widok z okna będzie pani miała na pola i las, ale do lasu stąd daleko. A w oddali widać Górę. Przyjechała pani samochodem? Gdzie parkuje? Na dole, pod Długimi Schodami? Proszę objechać wzgórze i skręcić w drugą uliczkę w prawo, minie pani starą synagogę, kawałek pod górę i już pani jest. Auto można trzymać na d z i e d z i ń c u. – Jeszcze raz przepraszam za winę, czekamy na ekipę – już dwa tygodnie przychodzą. Skaranie boskie z tymi fachowcami. Dom postawiono tuż po pierwszej wojnie światowej; z windą ciągle są jakieś problemy, to a u s t r i a c k a robota – usprawiedliwiła się w imieniu pierwszego właściciela kamienicy.

Dominika potknęła się na wysokim progu w ciasnym przejściu prowadzącym na korytarz. Drzwi skrzypnęły żałośnie. Przystanąły chwilę przed drzwiami mieszkania.

– To tu, a tam, na lewo, mieszka pan Gejer, o, to był kiedyś na uczelni ktoś ważny! ale nie wiemy dokładnie, kto i co. Justyna go pamięta, chyba jednak nie pracował jako wykładowca. Bywał też w bibliotece, ale książek nie pożyczał. Moja siostra już ma luki w pamięci, więc nie bardzo należy wierzyć jej opowieściom. Gejer wynajmuje duże mieszkanie, płaci zawsze w terminie, widać ma dużą emeryturę. Tak, to zacy człowiek, ale schorowany, reumatyzm go chyba męczy i bez swojej laski nigdzie się nie rusza.

Potarła palcem dolną framugę małego okna pod sufitem, które wpuszczało na korytarz niewiele światła, skrzywiła się. Uchyliła drzwi na klatkę schodową i zawołała: – Arek, Arek! Ach, gdzież znowu poniosło tego huncwota? Chłopak do wszystkiego – wyjaśniła. – Do niczego tak naprawdę. Jak i ten mój syn, ladaco. No, poszukam go za chwilę. Mopsa przecież trzeba wyprowadzić. Mops to pies pani Hanny. Lubi pani zwierzęta? To czysty piesek. I cichy, grzeczny. U m n i e jest zawsze czysto. I bezpiecznie. Lipowiczowie zawsze dbali o lokatorów... chociaż zazwyczaj łupili ich równo – mrugnęła okiem do dziewczyny. – Tu – wskazała na drzwi obok mieszkania Gejera – w jednym pokoju z aneksem kuchennym mieszka radca Baczko, który wyprowadził się z domu, a może – ściszyła głos – żona go

spakowała. No, ja tam nie wiem, jak było. Czasami wraca późno, ale to spokojny lokator; w każdym razie sąsiedzi się nie skarżą – podkreśliła trochę zbyt mocno. – To dobry prawnik, tylko... – urwała.

– A tu? – Dominika wskazała na drzwi na wprost jej mieszkania. Kto tutaj mieszka?

– Pani Hanna, ta od psa. Hanna Żmigrodzka. Och, to wielce ekscentryczna dama. Wątpię, aby miała pani okazję ją spotkać, prawie nie wychodzi z domu, chyba że wieczorami, a i to tylko na chwilę. Mieszka za zamkniętymi drzwiami i zaciągniętymi zasłonami. Mój syn mówi, że to a g o r a f o b i a, ale ja myślę, że to coś innego – pani Grażyna mówiła teraz prawie szeptem – tam była wielka miłość... Justysia wie więcej, pracowały kiedyś razem. Hanna robiła u nas doktorat, ale nic z tego nie wyszło. To największe mieszkanie na piętrze, takie samo jak moje. Ma pieniądze na czynsz, a czynsz nie jest mały. Nie moja sprawa. Listy kiedyś z zagranicy przychodziły, ale dawno już nic było. No – wyjęła klucz z kieszeni żakietu – to już wszyscy. Pan Wilk mówił mi, że organizuje u nas pani jakiś f e s t i w a l, więc pewnie nawet pani tych sąsiadów nie spotka. Mówię tylko tak, dla porządku. Człowiek powinien wiedzieć, z kim mieszka pod jednym dachem. Na pierwszym piętrze mamy tu firmę; co robią, to nawet i nie wiem, handel jakiś z zagranicą, „kupić, sprzedać, dobrze zarobić”. Rzadko tu bywają, tylko sekretarka siedzi od dziewiątej do siedemnastej. Na drugim dwie rodziny bez dzieci. Od frontu na dole są sklepy – już pewnie pani widziała (polecam ten z bielizną, mają towar prosto z Włoch), a na górze lokatorzy. Kilka mieszkań stoi pustych – zwierzyła się nagle – to miejsce nie jest najszcześniejsze, dobrze, że chociaż teraz dzwoni nie dudni. Stary spadł, bo pękła belka, na której wisiał, i potrzaskał się, a nowy... Nowego na razie nie ma – rzuciła dziwnie twardo, przekreśliła klucz w zamku i weszła pierwsza do a p a r t a m e n t u Dominiki.

Rzucona w wir przygotowań, Dominika od razu napotkała sporo problemów. Okazało się, że amfiteatr trzeba szybko odnowić, a przynajmniej wymienić kilkanaście ławek i pomalować scenę; nagłośnienie, mimo zainstalowania w ubiegłym roku nowej aparatury, jest fatalne, więc trzeba coś z tym zrobić, i to już; bilety sprzedają się przeciętnie, potrzebna od zaraz lepsza informacja, jakaś reklama – plakaty, anonsy w lokalnej prasie; rezerwacja hotelu dla artystów wymaga potwierdzenia i zaginęło gdzieś zgłoszenie. „Ot, prowincja”. Przez pierwszych kilka dni Dominika właściwie tylko spała w swoim wynajętym mieszkaniu. Budziła się wcześnie, robiła sobie solidne śniadanie, wypijała filiżankę porannej kawy z dużą ilością mleka i biegła do Urzędu albo do amfiteatru lub, podłączając się do Internetu, przeglądała zapowiedzi, czytała recenzje i śledziła nowinki z branży. Na obiady wpadała do owej „rodzinnej

jadłodajni” i dopiero późnym wieczorem wracała na kwaterę, gdzie słuchała jeszcze przez chwilę radia i zmęczona szybko zasypiała.

Właścicielki kamienicy, jej wiekowej siostry, ani sąsiadów z trzeciego piętra praktycznie nie widywała. Raz tylko (a było to w czasie pierwszego weekendu w Radzynie) natknęła się na pięcioletnią może dziewczynkę w warkoczykach, zbiegającą po schodach. Pędzący w dół wichur omal jej nie przewrócił i Dominika nie zdążyła zapytać małej, co robi w tym domu, czy także tu mieszka, i w ogóle... Późnym wieczorem zdawało jej się, że słyszy śmiech dziecka gdzieś za ścianą, ale nakryła głowę poduszką i spała dalej. Wieczorno-nocne życie domu było chyba bogatsze niż to zwykłe, dzienne, bo następnej nocy obudził ją rumor na korytarzu. Wyjrzała na zewnątrz – w nikłym świetle lampy zobaczyła wysokiego, szczupłego, wręcz chudego mężczyznę z brodą i wąsami. Szczurza twarz nosił mocno wymięty garnitur, a krawat miał niedbale zawiązany. Chwiejąc się, mężczyzna usiłował otworzyć zamek drzwi, bezradnie mu się przyglądając („radca Baczek...”). Kluczyk samochodowy, który trzymał w ręce, nijak bowiem nie pasował do drzwi mieszkania; w końcu mężczyzna coś skojarzył, wyjął z kieszeni właściwy klucz, odwrócił się w kierunku Dominiki, spojrzał na nią, uśmiechnął się przeproszająco, powiedział niewyraźnie: „Dobranoc miłej pani”, pokiwał głową, myśląc zapewne o marności tego świata, a kluczy i zamków w szczególności, i wszedł do mieszkania, nie zamykając za sobą drzwi.

Tylko okna mieszkań Gejera i Żmigrodzkiej wychodziły na podwórko. Przechodząc drugiego albo trzeciego dnia rano przez podwórko, Dominika zauważyła ruch kotary w mieszkaniu owej pani Hanny. Okno uchyliło się, zza zasłony wysunęła się drobna ręka, zdjęła coś z szerokiego parapetu, po chwili kotara zafalowała i ta sama ręka postawiła to coś z powrotem w tym samym miejscu.

– Sądzi pani, że ona karmi gołębie? – dobiegł ją głos z przeciwległej strony piętra. Otóż nie. To czynność mniej banalna.

Na balkonie stał znajomy starszy pan, w narzuconym na piżamę kusym szlafroku.

– Ach, to pan. Tak właśnie przypuszczałam, że sąsiad „Gejer” to ów jegomość z laską, który ma ciekawe, nadprzyrodzone? zdolności rozpoznawania nieznanym mu ludzi.

– Tak, on i ja to te same osoby. Jeżeli wierzymy w integralność osobowości. Bo ‘ja’ parę dni temu i ‘ja’ dzisiaj to niedokładnie to samo, na przykład: dziś od rana jestem „Gejerem z nowym, bardzo bolesnym chorobowym doznaniem”. Utraciłem też kilka tysięcy neuronów i pewnie coś jeszcze. Lecz ani on, ani ja nie mamy nic, ale to nic wspólnego ze światem – jak to pani ładnie powiedziała? – „nadprzyrodzonym”. Chłodno! – krzyknął – muszę wracać do

pokoju, jeśli nie chcę pogłębić tego doznania. Czy wypije pani ze mną popołudniową kawę? Zapraszam, powiedzmy o piątej, niech pani posłucha: koło teatru w parku jest kawiarenka „Aktorska”, na okrągło mają tam ciasto z morelami. Palce lizać. Niechże się pani nie każe namawiać, z taką figurą można jeść placek z morelami na śniadanie, obiad i kolację. Więc?

„’Niko’? Może jej tak mówić? Tak, kiedyś tu pracował, przed laty. Nie był kimś znaczącym, ale swoje miejsce w szeregu miał. Każdy powinien znać swoje miejsce, chociaż nie każdemu pisane pojawiać się na pierwszych stronach gazet. A czy ona nie sądzi, że ci z dalszych – hm – szpalt są często dużo ważniejsi? Z wykształcenia jest inżynierem chemikiem, ale zawód wyuczony wykonywał krótko. A co robił? Ważne i potrzebne zadania miał, może kiedyś jej opowie. W każdym razie – kręcił się to tu, to tam. Mrówcza praca, ciężka, niezapłacona, niewdzięczna. Czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie są w istocie swojej, w naturze swojej głęboko niewdzięczni? Za nic mają tych, którzy im służą. W świątek, piątek. W urodziny czy imieniny często nawet kropli alkoholu, bo obowiązek. Na WSNH miał wielu znajomych i w „Precyzyjnej”, no: w Wyższej Szkole Mechaniki Precyzyjnej, i w teatrze, o, długo mógłby opowiadać, może kiedyś... A potem wszystko wyszło na opak, z czarnego białe, z białego czarne, czy o to walczyli? Spisek, międzynarodowy spisek, ot co. Niech posłucha: międzynarodowy burżuazyjny kapitał, a cóżby innego? Spłacać teraz przyszło długi, co je kiedyś tamci pozaciągali. Ona nie wierzy? Jej prawo, ale niech pomyśli, niech się zastanowi”.

Mówił powoli, cedził słowa, kapały jak woda w zepsutej fontannie na środku sadzawki, wątpliwej ozdobie frontonu teatru. Białe kolumny fasady budynku odbijały się w sadzawce, para kaczek pływała w kółko w małym splachetku wody, popołudniowe słońce tworzyło amarantowo-złote refleksy na jej powierzchni. Dominika zmrużyła oczy: „Czy zna radcę? Tego z naszego piętra; radca – zdaje się – ma kłopoty...”.

„Tak, zna, on tu zna wszystkich, każdego, kto k i e d y ś coś znaczył; bo od dawna jest na emeryturze i już wypadł z obiegu. Niech posłucha, tak całkowicie to nigdy się nie wypada, prawda? Radca? O, kiedyś dobry prawnik, błyskotliwy, w Magistracie miał kawałek etatu i jeszcze w Autobusach, i w Wodociągach chyba też. Teraz pije, to nie tajemnica, wszyscy wiedzą. W ciągi wpada, trzydniowe, potem chwila ciszy. Z żoną coś poszło nie tak, i z synem. Wyrzekli się – męża i ojca. Radca opowiadał mu kiedyś o tym swoim genialnym synalku – mały chłonał grecką klasykę, gdy jego rówieśnicy zaczytywali się w książkach o Indianach i rozwiązywał równania, kiedy tamci rżnęli w piłkę. Junior był tu raz, on nawet zamienił z nim parę słów. Dziwny, taki – jakby to powiedzieć – nieobecny. Małomówny. Geniusz studiuje w

jakimś Oksfordzie i nie chce znać taty-pijaka, który mu pół życia poświęcił. I radca powoli w dół. Ma jeszcze kancelarię, ale mało kto już do niej zachodzi, chyba że nowo przyjezdni, którzy go jeszcze nie znają. Zawala terminy, gubi dokumenty; prawo jazdy mu zabiorą i to będzie koniec absolutny. To w porządku człowiek, tylko jakiś taki... rozsypany, może, gdyby tak mu kto pomógł? Czy ona wie, że radca maluje? Obrazy. Na pewno nie wie. Jego zdaniem – bohomyzy, ale widać dusza w Maćku Baczko artystyczna. Podobno wynalazł nową technikę malowania na szkle. On się tam nie zna. Może radca Baczko rozminął się z powołaniem? To się zdarza. On natomiast się nie rozminął i teraz sumienie spokojne. Bo czyste sumienie ma się wtedy, gdy człowiek jest w zgodzie z samym sobą. Że co, że można się ześwinić i też spać spokojnie? A komu to oceniać, komu?! Niech ona, Nika, głupio nie gada. On szanuje ludzi odmiennych poglądach, ale tylko, gdy są konsekwentni. Radca właściwie całe życie był konsekwentny... więc należy mu się szacunek. A że mu per saldo nie wyszło? Jednemu tak, a drugiemu tak. Czy zje jeszcze kawałek placka, prawda że dobry? Zje! Dwa?! To wspaniale. On ją kiedyś zaprosi do „Nadrzecznej”, na rybę z grilla, wtedy opowie jej parę ciekawych historii, na przykład o pani rektor, o panu Henryku, o, jest, jest czego posłuchać... Justyna go pamięta? Oczywiście, on ją też. Ale to starowinka, już rozum się miesza. Hanna? A co się tak uparła na tych cudaków? Hanna Żmigrodzka to długa historia. Niech popyta Lipowiczową i tę jej ‘siostrzysię’. A najlepiej niech sama Hanke odwiedzi. Czarownica czasem wpuszcza do mieszkania; tylko niech uważa, żeby jej tamta nie otruła. Ha, ha. Ale to nie żart. Dziewczynka? Mała? Pięcioletnia? Kelnerka! Płacić! No, na niego już pora, musi jeszcze zajrzeć do takiego jednego, który nie lubi czekać. Niech zje ciastko i spokojnie dopije kawę. I uważa na siebie. Ma zmęczone oczy, to źle. Może...? Nie, nic. On się zna na ludziach i ich biedach. A kto się ma znać...”

Ale to „czarownica” pierwsza przyszła do niej. Niedługo potem, któregoś wieczoru, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– *Nǐ hǎo ma.* Jak się masz. Jestem Hanna Żmigrodzka. Mieszkam tu obok. Pani mnie nie zna, ale ja panią trochę tak. Codziennie wychodzi... wychodzisz wcześniej rano i wracasz późnym wieczorem. Czy już na stałe w Radzynie?

W ręce trzymała złocistą chryzantemę.

– To dla ciebie – podała jej kwiat. – „Anastazja”, moja ulubiona.

Jej twarz schowana była za ogromnymi przeciwsłonecznymi okularami, przysłonięta rondem słomkowego kapelusza; starsza pani mówiła z lekkim wysiłkiem, prawie szeptem i Dominika musiała nachylać się w jej stronę, żeby niczego nie uronić. Miała chyba nieco ponad

sześćdziesiąt lat – tak ją Dominika oceniła na pierwszy rzut oka – ale coś w niej było ulotnego, księżycowego, co utrudniało dokładną ocenę wieku. I nie tylko to – było ją widać, a jednocześnie ledwie była widoczna, można było dosłyszeć jej głos, zarazem nie słysząc prawie nic, stała obok, ale coś przeświecało przez jej ciało, więc – zastanawiała się Dominika – była tu czy jej nie było?

– Mam kłopot: kobieta, która sprząta u mnie i robi mi od czasu do czasu zakupy, zachorowała. Nic groźnego, zapalenie ucha, ale musi zostać w domu parę dni. Czy byłaby pani, byłabyś tak miła i... kupiła mi parę drobiazgów? Ja... ja w dzień rzadko wychodzę – usprawiedliwiła się. – Brakuje mi środków czystości i karmy dla Pana Lu. Lu to mój mopsik – uśmiechnęła się nieporadnie – on je tylko rosół mięsno-warzywny i cukierki ślazowe. Zna pani mopsy? To urocze zwierzęta, łagodne i przyjacielskie, pochodzą z Chin, ale mój wywodzi się z linii holenderskiej. Mogłabym poprosić tego chłopaka, co tu się kręci – Arka, ale nie mam też kosmetyków, na przykład skończył mi się krem pod oczy i wyszła cała odżywka do włosów, a jakże ja zlecę takie zakupy mężczyźnie? Zajmuję tylko czas, przepraszam, jeśli...

Więc była tu, czy jej nie było? Dominika miała spore wątpliwości. Nierzeczywista była sama Hanna, taki sam był jej tryb życia, jej mieszkanie, nawet jej zwierzęta: pies – Pan Lu i kanarek – Marszałek Dworu. „Tego już Andersen nie opisał, ale tamtego marszałka dworu za jego nieusuwalną głupotę spotkała kara – od tamtej pory dusza dworzanina ubierać się musi w pióra różnych ptaków, do czasu, aż uda jej się spotkać tego jednego, jedyne. Teraz była już blisko, ale kanarek to jednak nie słowik. No, panie Marszałku, może coś nam pan zaśpiewa? Czasem udaje mi się go przekonać, ale to wielki uparciuch. Proszę, proszę, dostaniesz ulubione ziarenka, a może nawet parę malutkich jarzębin...”.

– Na pewno dziwią panią – czy mogę mówić po prostu: „Niko”? – na pewno dziwią cię, Niko, te wszystkie sprzęty: meble, obrazy, figurki, filiżanki. Widzisz, *ma chérie*, ja kiedyś zajmowałam się ich kulturą, a konkretnie – kulturą materialną najwspanialszej epoki Song; mój Paweł niezupełnie się z tym zgadzał, dla niego liczyła się tylko dynastia Tang i ten jego Wang Wei. Kłóciliśmy się zawzięcie, chociaż on miał przewagę – za nim stała powaga docentury, podczas gdy ja byłam wtedy ledwie magistrantką. Pisałam pod jego kierunkiem pracę, na wydziale historii. Paweł kierował wtedy Zakładem Kultur Wschodnich, po habilitacji nie było dla niego miejsca na Jagiellonce, więc zdecydował się na docenturę w WSNH. Do Krakowa jeździł na cotygodniowe seminarium, bardzo chciał wrócić; Radzyń to przecież prowincja, i uczelnia też – powiedzmy szczerze – prowincjonalna. Pięćdziesiąt lat – prychnęła – wobec tamtych sześciuset pięćdziesięciu. Później zaproponowali mu tam jeszcze



wykład z filozofii i religii Wschodu. (Husserl twierdził co prawda, że filozofia jest przyrodzona tylko Zachodowi, ale nie jeden przecież Husserl na świecie). To było wielkie wyróżnienie i on to traktował jako ważny krok w dobrym kierunku. A ja planowałam doktorat o malarstwie epoki Song, bo Song to nie tylko zapierająca dech w piersiach porcelana, nie tylko seladony... ale, ale nic z tego nie wyszło – Hanna zajrzała do żółtego czajniczka, na którym przeżył się zielony smok, wciągnęła nosem aromat i nalała herbatę do takich samych żółtych filiżanek. – *Li*, etykieta, moja droga. Niech cię to nadmiernie nie stresuje, ale to oryginalna porcelana z czasów Hongzhi, z epoki Ming. Z wypukłym reliefem, *duitie*, malowana emaliami naszkliwnymi z rodziny rózu, *fengcai*. Z francuska: *famille rose* – uśmiechnęła się. – Każdy przeciętny Europejczyk zna tę nazwę: dynastia Ming, więc pomyślałam, że na początek taka *chinoiserie* będzie w sam raz. Och, przepraszam, nie chciałam cię urazić. Ach, jesteś po kulturoznawstwie? To dobrze, mamy zatem płaszczyznę do rozmów o sztuce. Na pewno chcesz mnie zapytać o parę spraw. O mur-przegrodę, o tygrysa, koguta, strażników. Wszystko w swoim czasie, wszystko w swoim czasie.

Wizyty u pani Hanny wciągały jak narkotyki. Przedwieczorna herbatka w mieszkaniu naprzeciw stała się zwyczajem i przynosiła Dominice ulgę po uciążliwościach dnia powszedniego. Przechodząc przez podwórko machała ręką w kierunku pluszowych zasłon i wiedziała, że zza zaciągniętych kotar obserwują ją ciepłe, uważne oczy.

– Ma pani piękne zielone oczy, dlaczego ukrywa je pani za tymi okularami? Czy to z powodu choroby? I – przepraszam za śmiałość – czemu wciąż chowa pani twarz pod kapeluszem? W domu nie ma przecież słońca. A w pani mieszkaniu panuje wręcz mrok.

– Nie, to nie choroba. Wiedziałam, że prędzej czy później o to zapytasz. To starość, *ma cherie*. Moje ciało starzeje się. O, spójrz – Hanna wyciągnęła dłonie w kierunku Dominiki. – Widzisz te plamy na skórze?...

– Ależ to normalne w pani wieku.

– Normalne? – wyszeptała. – To obrzydliwe. Nie patrzę na ręce, nawet gdy je myję. Pryszyć też biorę z zamkniętymi oczami. Moje palce tracą naturalną giętkość, moja twarz marszczy się jak skóra Pana Lu, pod oczami robią mi się wstrętne worki, włosy siwieją i wypadają, mój brzuch nie jest już tak jędrny jak dawniej, oddech staje się nieświeży, a kolana trzeszczą i skrzypią. Wszystkiego mogłam się w życiu spodziewać, ale nie tego, że będę stara. Nienawidzę starości. Starość jest straszna. Odbiera piękno. Czy te filiżanki tak by nas zachwycały, czy tak by cieszyły wzrok, gdyby były stare i poszczerbione, gdyby schodziła z nich farba? Nie zaprzeczaj. Stary człowiek nie jest piękny, a stara kobieta wręcz okropna.

Stare kobiety powinny żyć za zamkniętymi drzwiami, schowane pod kapeluszami, woalkami, z rękami w długich rękawiczkach, a nogami ukrytymi pod długimi sukniemi.

Poprawiła kapelusz:

*Kiedy patrzę w lustro*

*Moja twarz mnie przeraża.*

*Zrobiłam się taka okropna!*

*Kiedy wiosna powraca*

*Opanowuje mnie słabość*

*Jak ciężka choroba.*

*Jestem zbyt leniwa*

*Żeby wąchać nowe kwiaty*

*Albo pudrować twarz.*

*Wszystko doprowadza mnie do rozpaczy...*

Zrobiła pauzę:

– W moim domu nie ma luster. Jak u Borgesa – zaśmiała się.

...

*Przestraszają mnie lelki swymi dzikimi*

*Krzykami i nie mogę*

*Wygnać ich z moich uszu...<sup>1</sup>*

Urwała:

– To *Beznadziejna*, pani Li Qingzhao, która żyła, zgadnij? W XI wieku! Czy świat się nic nie zmienia? Czy ludzie wciąż cierpią tak samo? I te lelki. Co to jest? Całe życie boję się lelków, a nawet nie wiem, jak wyglądają. Lepiej porozmawiajmy o porcelanie. Obiecałaś coś mi dzisiaj pokazać. Nie – położyła palec na ustach Dominiki – nie będziemy więcej o starości rozmawiać. Paweł... Paweł nie może o tym wiedzieć. Czeka na mnie – piękną. Więc co tam masz?

– „Rodową” filiżankę ze spodkiem, dostałam ją od ojca, on od swojego i tak dalej. Nie wiem, jak głęboko sięga jej historia, ale tata uważał, że filiżanka jest bardzo wartościowa. Dla mnie jest, niezależnie od czasu i miejsca pochodzenia; wszędzie z nią jeżdżę i piję z niej pierwszą poranną kawę, choć to chyba profanacja... Mam też figurkę – to polski szlachcic, jakiś zbieracz-amator wmawiał mi, że może pochodzić z Miśni – dziewczyna postawiła przedmioty na stoliku.

---

<sup>1</sup> Li Qingzhao, *Beznadziejna*, tłum. Czesław Miłosz.

Hanna wzięła do ręki filiżankę, zdjęła na chwilę okulary i spojrzała na nią pod światło, oglądnięta ze wszystkich stron:

– Zdobiona chabrami, już gdzieś widziałam taki garnitur. To oczywiście filiżanka do herbaty, ale skoro przechrzciałaś ją na kawową – musi tak być, czy jej się podoba, czy nie. Wygląda na oryginał z Korca, pierwszej polskiej manufaktury, ale spójrz na te mikroskopijne kraterki na powierzchni szkliva. Widać zastosowano zbyt wysoką temperaturę wypalania i szklivo spękało. Na początku nie zawsze umieli nad tym zapanować – dodała. – Skąd tu te nakłucia? – przyjrzała się filiżance przez szkło powiększające. – Pewno biskwit był przykurzony, gdy ją szkliwiono. Wygląda na to, że macie w rodzinie cenną rzecz, ale niezbyt udatnie zrobioną. Pokaż teraz szlachciurę. Jak żywy, jak żywy! Czaszkę ma całą podgoloną! – klasnęła w dłonie. – To na pewno Miśnia, gdzieś tak około połowy XVIII wieku, polski szlachcic był wówczas bardzo modnym motywem. Strzeż go dobrze, dziecino... a, a nie było z nim szlachcianki? Nie? Bidulek, sam jest na świecie.

Lekcje porcelany zajmowały im około pół godziny każdego wspólnego wieczoru.

„Porcelana to wyrób ceramiczny, który rezonuje”. Brzęczy, a nie mędrkuje. Postukaj po prostu paznokciem o czerep. Ja najbardziej lubię tę definicję, europejską zapewne, bo ich tradycja odżegnuje się od definiowania czegokolwiek (boją się wpadnięcia w pułapkę słów).

Pamiętaj, prawdziwa jest tylko porcelana z Państwa Środka. Reszta świata to ledwie nędzne imitacje, przeproś w moim imieniu twojego porcelanowego pana Rzędziana i wszystkich kolekcjonerów porcelany niemieckiej, holenderskiej, angielskiej czy francuskiej. Może jestem niesprawiedliwa, mało mnie to obchodzi.

Fajans? A czy ty, dziecko, w ogóle wiesz, jak odróżnić porcelanę od fajansu? Spójrz na te dwa kubki: podobne, prawda? Ale jeden jest porcelanowy, a drugi nie. Który jest który? Ten lekki to fajans – różnica w technologii, a głównie w składnikach; to było owo *arcanum*, wiedza tajemna, której tak zazdrośnie strzeżono w manufakturach europejskich książąt i królów. Chcieli porcelany, wychodził im fajans. Teraz też mówicie: ‘fajans’ na coś podrobionego, niewydarzonego, prawda? W końcu Europie udało się, ale trzeba pamiętać, że tamci opanowali ową technologię ponad tysiąc lat wcześniej. Tysiąc lat!

Wcześniej... czyli na początku panowania mojej ukochanej dynastii Song (złośliwiec Paweł cofał to oczywiście do epoki Tang). Ale to wtedy, w epoce Song, powstała najpiękniejsza porcelana. Prosta, wykwinna, szlachetna. Podejź tu, Niko, i popatrz. To właśnie ‘seladon’, porcelana o seledynowobiałym szkliwie. Zdobiona reliefem ‘na pół noża’, bardzo płytkim. Uwważaj! Nie dotykaj! Nie dotykaj jej w ten sposób! O Boże, przepraszam cię kochanie, ale ona taka krucha i delikatna. Kochali absolutną doskonałość, nie tak, jak sąsiedzi z wysp za

morzem. Dostałam tę cudną czarkę od Pawła, który wyzebrał ją od jakiegoś znajomego na Tajwanie. Przepraszam, nie gniewasz się? Weź i po prostu trzymaj ostrożnie. Spójrz, jak zielone światło przez nią przecieka. Później jeszcze była jedna przesyłka, już Stamtąd – dwie małe czarki, ale obie rozbite. Choć nie powinny, żadną miarą. Oni to zrobili? Dlaczego? Kazałam skleić, ale cóż... są tak chore, że nie chcą pokazywać się ludziom.

Później...

A może ty jesteś głodna? Przejdźmy do kuchni, spróbujesz moich warzyw *chop-suey*, z brzoskwiniami i odrobiną herbacianego naparu. Jem niewiele, garnek warzyw wystarcza mi na parę dni. Tak, Pan Lu pójdzie z nami. Może i on coś dostanie? Do wszystkich potraw dodaję napar i brzoskwinie, to odmładza. Są też inne sposoby, ale cicho sza – zdradzę ci je kiedy indziej. Trzeba uważać, żeby ktoś niepowołany nie podsłuchał. Złe duchy na przykład. Nie uśmiechaj się, to nie są bajania starej baby.

... później opanowali malowanie podszklivne, przede wszystkim kobaltem i związkami miedzi, potem różne emalie i farby, rodzinę różu i rodziny innych kolorów, a gdy już umieli malować pod i nad – wymyślili technikę kolorów walczących. Oblewali też naczynia różnobarwnymi szklivami: ‘pyłem herbacianym’, ‘byczą krwią’ i ‘błękitem nieba’. Modelowali swobodnie powierzchnię naczyń – powstawały reliefy jak ten, reliefy wypukłe, krakle, a nawet w czasach dynastii Ming *an hua*, skryta dekoracja, której nie dostrzeżesz inaczej, jak patrząc na powierzchnię przedmiotu pod światło. I czerep nauczyli się wypalać tak cienki, jak kartka ryżowego papieru. Malowali na porcelanie meandry, kwiaty lotosu i peonii, brzoskwinie i winorośl, trzech przyjaciół: bambus, śliwę i sosnę, a także cykady, krewetki, ptaki, smoki i feniksy, ósemkę nieśmiertelnych, dzieci i mędrców. Robili z porcelany filiżanki, wazy, dzbany, patery, misy i talerze, nawet stoły i stołki. Budowali z porcelany mosty, pagody, w końcu zrobili porcelanową łódź, która nie pływała. W końcu więc, jak to zawsze u nich, forma zdominowała treść. Ale najpiękniejsze są najstarsze seladony, a jeden z nich spoczywa teraz ufnie w twojej dłoni. Jeśli jest gdzieś, w niebiosach lub ponad nimi, idea małej porcelanowej filiżanki, to materializuje się tutaj, teraz, przed twoimi oczami.

Jest porcelana twarda – ta prawdziwa, ale spotyka się też inną – miękką. O, popatrz na ten kubek. Skąd taka na nim gama kolorów podszklivnych? Dla twardej porcelany byłoby to niemożliwe do osiągnięcia, zatem to porcelana miękka, i w tym przypadku – falsyfikat. To cała dziedzina wiedzy, odróżnianie oryginałów od podróbek. Te wszystkie znaki, symbole wytwórni, manufaktur, fabryk, składów – toż to cała dziedzina wiedzy. Nie interesowała mnie specjalnie – nie mam duszy kolekcjonera, ale skoro pytasz... Zacząć trzeba od zwykłej próby atramentowej i rysowaniu ołówkiem po szklivie. Dobrze mieć jakieś obiekty do porównania,

nawet uszkodzone, nawet niezbyt udane, gdy mistrz nie opanował jeszcze należycie techniki wypału, suszenia, malowania i składowania. Ale mnie, jak ci mówiłam, te sprawy nie zajmowały. A wiesz czemu, tak naprawdę?

Bo oni nie znają pojęcia falsyfikatu, dla nich wszystko jest oryginalne; jeśli artysta powiełał czyjeś dzieło – cóż, może dążył do doskonałości? Nie mogą znać sensu słowa: ‘kopia’, skoro wszyscy wszystko kopiowali. Zważ, ile jest rysunków tuszem ptaszka na gałęzi czy łódki samotnego rybaka, zagubionej w bezmiarze wód. A ile namalowano obrazów z motywem skały, wodospadu i uczonej urwiska samotnej chaty? Tysiące. No, wystarczy na dzisiaj, pomożesz mi teraz zrobić spis składników ciasteczek z wróżbą. Bo... urządzimy jutro wieczór wróżb. Potrzebujemy, zapisz: dwa jajka, jedną czwartą filiżanki masła, pół filiżanki mleka, półtorej – mąki (weźmiemy pszenną, ryżowej tu nie można kupić), suszone owoce i kandyzowany imbir. Imbir mam!”.

Był to właściwie przepis na ciasteczka noworoczne, ale uznały, że zastosują go upieczenia ciastek z wróżbą. „Dobrze byłoby jeszcze dodać szczyptę złotego proszku, ale – wybac – nie dowiedzieli. Teraz napiszemy na karteczkach wróżby, a każdą karteczkę ozdobimy słowem. W czasie, gdy będą w piekarniku, namaluję błękitnego smoka. Od pewnego czasu prosi mnie, żebym go tutaj sprowadziła. Zao Wang, mój dobry duch, robi mi już wyrzuty za opieszałość. Czemu smok? Jest właśnie rok smoka. *Chen*. A błękitny to smok miłosierdzia. Widocznie komuś będzie potrzebny. Czasem przynosi ulgę, pomaga... pomaga przejść. Nie wiem, nie wiem komu ma pomóc, ja mam go tylko namalować”.

– Tak, tusz jest zawsze czarny – Hanna rozłożyła porcelanowe przybory na biurku w małym pokoju z parą feniksów, fruujących pod sufitem. – Zapas tuszu mam od Pawła i strzegę jak żrenicy oka. Trochę mi zasycha, ale wiem, jak go pobudzić do życia. Pisze się oczywiście pędzelkiem. Podejdz tu. Dawni Chińczycy sklasyfikowali znaki w sześć kategorii (mówiłam ci już, jak oni kochają wszelkie klasyfikacje, prawie tak samo jak kolekcjonowanie). To skomplikowane – trzeba znać naturę tego dziwnego niealfabetycznego języka – i nie będę cię zanudzać. Lepiej coś napiszmy. Znak *jung* – ‘wieczny’, spróbuję go powoli namalować, zawiera w sobie wszystkie podstawowe kreski ich pisma; to chyba nie jest prawda, ale dla celów naszej edukacji możemy tak przyjąć. Zobacz, kolejność pisania nie jest dowolna: najpierw piszę kreskę górną, potem dolną. Najpierw prawa... potem lewa, o, tak. Kreska pozioma jest zwykle malowana przed pionową; to oczywiście ogólne reguły. Słynny kaligraf, Shao Ing, opracował dziewięćdziesiąt dwie zasady kompozycji znaków. Niektóre pamiętam, na przykład: „górną część znaku winna przykrywać jego część dolną”, albo: „dolna

część znaku winna niejako nieść część górną”. O, wielcy kaligrafowie byli równie słynni, co wielcy malarze, a może nawet bardziej? Obraz zyskiwał większe uznanie, gdy wkomponowywano w niego znaki pisma. Forma, nie treść, pamiętasz? Mało kto wie, ale nawet Mao Ze Dong zajmował się kaligrafią... Podaj mi tę małą książeczkę, która stoi na półce, o, tę. Coś ci przeczytam, to lepsze niż godziny wykładów. Jeden z najsłynniejszych kaligrafów, który żył w drugim wieku naszej ery, pisał tak: „... czasem znak winien być jak ptak, który odlatuje. Czasem jak miecze, krzyżujące się jak strzała w locie. Czasem jak burze grzmiące, jak groźnie pomrukuje wulkany, innym zaś razem jak przepływające chmury lub jak błyszczące gwiazdy... Oto, co można nazwać kaligrafią”. I dalej: „Kiedy chce się nakreślić linię pionową, trzeba rozpocząć od skierowania pędzelka lekko ku górze, a następnie pociągnąć kreskę ku dołowi. Gdy już dojdzie się do końca linii, trzeba znów trochę skierować pędzelek ku górze. Wedle tej zasady należy kreślić każdą linię. W ten sposób znaki zyskują siłę i wigor”. Moje nie mają ani dostatecznej siły, ani wigoru. Jestem właściwie samoukiem, więc ów mistrz bardzo by się zasmucił, patrząc na to moje pisanie. Chociaż, czy nie uważasz, Niko, że moje znaki są właśnie jak ptaki, które odlatują?”

Z *Księgi wróżb* wybrały dwadzieścia sentencji, każda po dziesięć, wedle swojego uznania, wypisały je na malutkich papierowych paskach, a rewersy karteczek Hanna ozdobiła słowami, pisanyymi tym razem uproszczonymi znakami, „trawiastymi”. „Chyba nie wyobrażasz sobie, że ktoś w tych czasach, szybko pisząc, tak kaligrafuje, jak ci przed chwilą pokazywałam. Aha, jeśli w twoim ciasteczku będzie wróżba, którą sama znalazłaś w ‘Księdze’ – bierzesz następne. Do skutku”.

„Czytam tu, Niko, przestrozę, żeby unikać niepotrzebnych kłótni. Zabawne, znak ‘kłócić się’ składa się z dwóch ‘kobiet’. Musimy uważać. Druga kobieta to zawsze zagrożenie. Rywalka cesarzowej Lü, która panowała w drugim wieku przed Chrystusem, została ukarana obcięciem rąk i nóg i wrzuceniem do rowu, gdzie odprowadzano nieczystości pałacowe, gdzie przez jakiś czas żyła ‘jak świnia’, zanim umarła”.

Ciastka piekły się powoli na bladozłoty kolor, a pani Hanna na kawałku jedwabiu malowała w skupieniu smoka miłosierdzia. „Jedwab nie jest wdzięcznym podłożem do malowania; zauważ, że w tej technice nie ma mowy o jakiegokolwiek poprawce. To nie obraz olejny, który możesz zamalowywać w nieskończoność. Bardziej jak akwarela. Uczy precyzji i nie toleruje błędów ani zmian koncepcji. No, gotowe, pomożesz mi go zawiesić na ścianie. Mój smok ma uszy Pana Lu. A jak tam nasze wróżby?”

– „Zmysłowość jest dobra, o ile nie zaciemnia widoku cierpienia” – przeczytała Dominika po skruszeniu ciasteczka.

– Teraz ja. O nie, to moje, wezmę następne. „Szerokość rzeki nie jest jej głębokością” – powoli, z namaszczeniem odczytała wróżbę pani Hanna.

– I jest jak zawsze, nic z tych wróżb nie wynika. Zjem lepiej ciastko.

– Nie mów tak, nie ma przypadków. „Szerokość rzeki nie jest jej głębokością” – powtórzyła Hanna. Potarła czoło, pochyliła się nad stołem i spytała pokruszone ciasteczko: – Chcesz mi powiedzieć, że to, co zamierzam, jest łatwiejsze, niż mi się wydaje? A może, odwrotnie, że jest trudniejsze? A może uważasz, że powinnam kierować się w zupełnie inną stronę?

– Pani Haniu, to pytyjskie wróżby. „Zmysłowość jest dobra...”. „Zmysłowość jest dobra...” – powtórzyła. – A co jest w innych, zobaczymy?

Przeczytały głośno wszystkie wróżby i zjadły wszystkie ciastka (prawdę mówiąc, kilka zjadł Pan Lu). Dominika śmiała się z ciasteczkowych mądrości, w końcu *poważne* sentencje zaczęły bawić również panią Hannę. Zdjęła okulary i słomkowy kapelusz, rozpuściła związane zawsze w kok włosy, włączyła kasetowy magnetofon.

– K’ung Fu’tsy bardzo cenił muzykę, to jest oryginalna muzyka z Sichuanu; posłuchaj, a ja opowiem legendę o perle:

„Żółty cesarz, wędrując na północ od Czerwonej Rzeki, wspiął się na górę Kunlun. Spoglądając ku południowi na drogę powrotną, zgubił swą czarną perłę. Wysłał więc Wiedzę na jej spotkanie, ale Wiedza jej nie znalazła. Wysłał Wzrok na jej poszukiwanie, ale i Wzrok jej nie znalazł. Wysłał Wymowę na jej poszukiwanie, ale i Wymowa jej nie znalazła. W końcu wysłał Przypadek, Xiang Wang, i Przypadek ją znalazł. Żółty Cesarz wtedy powiedział: ‘Czyż to nie dziwne, że właśnie Xiang Wang potrafił ją znaleźć?’”<sup>2</sup>.

Tyle mistrz Zhuangzi. Oczywiście wiesz, czemu przypominałam tę opowieść.

\*

Nic właściwie nie zakłócało teraz przygotowań do koncertów, problemy techniczne zostały mniej więcej rozwiązane, bilety sprzedawały się lepiej niż przyzwyczajenie, nawet „Warszawka” zapowiedziała się w sile kilkunastu osób, lada dzień spodziewano się przyjazdu Ala Fostera; Dominika dużo czasu spędzała przy komputerze, wysyłając maile: do Doroty, do agenta europejskiej trasy Ala, do redakcji jazzowych czasopism i kilku liczących się internetowych portali, żeby nie zapomnieli zaanonsować amerykańskiego muzyka i jego *supportu*, czyli freejazzowych młodych muzyków z Gdańska, do matki, żeby się nie martwiła, także do

---

<sup>2</sup> Zhuangzi, tłum. Witold Jabłoński.

Błażeja, że ona ma się dobrze, tutaj w Radzynie. Po namyśle uznała, że scenografię spróbuje zamówić u Anny Tochman; znana plastyczka mieszkała od paru lat w sąsiednim Olchowcu i nawet ucieszyła się z nieoczekiwanego zlecenia. „Od lat już czegoś takiego nie robiłam. Projekt przygotuję wam... za darmo, wystarczy mi kilka wejściówek na festiwal. Przyjedziemy wszyscy, całą rodziną. Ale, ale, proszę nas koniecznie któregoś dnia odwiedzić. Olga, Natasza i Dionizy, moje siostry i brat – wyjaśniła – będą bardzo radzi. Ja oczywiście też”. Nie zakłócało więc spraw bieżących nic właściwie, poza jednym drobiazgiem – ni stąd, ni zowąd, zaczęła Dominika odczuwać niewielkie lecz przykre bóle w dole brzucha (rano, prawie codziennie); potraktowała to jako naturalny i spodziewany chyba efekt paru miesięcy gonitwy i nerwowego trybu życia. Poza tym bywało już podobnie, gdy miała te swoje opóźnienia... więc przyjęła drobne dolegliwości jako stan przejściowy, więcej – konieczny, by nie powiedzieć: wręcz pożądany, może dla zwrócenia uwagi, że nie samym chlebem, poranną kawą i wieczorną herbatą... Zасыpiając w miękkiej pościeli *madame* Lipowicz, podjęła solenne przyrzeczenie: „Będę znowu chodziła na domowe obiady. Od jutra regularnie”.

A na razie czekała ją kurtuazyjna wizyta u sióstr, które poczuły się lekko urażone notorycznym pomijaniem ich osób w towarzyskich kontaktach p a n i Niki, i przez Arka podesłały liścik, zapraszający „w dowolnej, dogodnej chwili na kieliszeczek śliwownicy z owoców z kościelnego ogrodu i drożdżowe ciasto z powidłami, z tych samych ubiegłorocznych, wyśmienitych śliwek”.

„Dziewczyny” przyjęły ją serdecznie. Wyglądały jakby wprost wyjęte z kart opowiadań Czechowa: pani Grażyna stała koło inwalidzkiego wózka Justyny, ubrana w nakrochmaloną, szeroką spódnicę po kostki i białą bluzkę z obfitymi, bufiastymi rękawami, haftowaną w maki i kąkole, jej siostra siedziała owinięta ciasno wielobarwnym szalem z długimi czarnymi frędzlami. Duży, okrągły stół nakryto koronkowym obrusem, dzbanek dymił i pachniał świeżo mieloną kawą, w karafce niebezpiecznie błyskała złotawa śliwowica, a pod szklaną pokrywą spoczywał bohater wieczoru: drożdżowy placek z kruszonką i powidłami. Dominika wręczyła każdej z sióstr bukietek goździków, Grażynie – białych, Justynie – blad różowych. I z miejsca ruszyła do ataku:

– Musicie mi, panie, opowiedzieć o waszym mieście i o ludziach. Jestem tu już ponad dwa tygodnie, a ciągle wiem o was tak mało. Na przykład – pani mąż, kim był, co robił. Albo – pani Hanna. Mam wrażenie, że w jej życiu jest jakaś tajemnica. Czy nie spowodowana jakąś tragedią? Mówiłam już chyba, że ciasto świetne, a śliwowica boska? Poproszę teraz trochę kawy.



Był urzędnikiem, miał duszę urzędnika, nic ciekawego, ot, zwyczajna, dobrze zaprowadzona kariera na prowincji, nic dalej, nic wyżej, po co? Rozsądnie, bardzo, bardzo rozsądnie, bo w odpowiednim czasie przejęta niszcząca miejska, czyli wtedy niczyja kamienica, która w minionych czasach byłaby zapewne przeszkodą, a teraz dała jemu i jego żonie pożądany status mieszczański, pozycję dobrze, solidnie osadzonych „naszych” ludzi. Swoje odsłużył i we właściwym czasie, choć mówiono, że za wcześnie, oj, za wcześnie, odszedł powalony apopleksją, obarczony, w powszechnej opinii, nadmiarem obowiązków, tak naprawdę obciążony zbyt wieloma kieliszkami śliwownicy i kawałkami ciasta z kruszonką. Żonie Grażynie zostawił to i owo, więc zapewniony miała żywot prawie wieczny, amen.

Dominika odsłuchiwała mężnie opowieści o słusznie należącym się niektórym ludziom dobrobycie i powodzeniu, w końcu przerwała:

– Wasze zdrowie, miłe panie – upiła łyżeczek z likierowego kieliszka. – Ciekawi mnie – rzuciła od niechcenia, zmieniając temat – co to za dziecko biega po schodach naszego domu. Dziewczynka.

– Ach, to wnuczka Gejera... – wyrwała się pani Justyna.

– Taak, wnuczka, ale nie sądzę, aby...

– Cóż w tym złego, że wychowuje wnusię? – Justyna spojrzała przestraszona na siostrę. – Córka mu ją zostawiła i uciekła z tym jej... gdzieś daleko – brnęła dalej. – Mała jest w całotygodniowym przedszkolu, a soboty i niedziele pan Gejer bierze ją do siebie. Dzielny i zacny człowiek.

– No, wystarczy, Justyno – pani Grażyna ucięła opowieść siostry.

– Dzielny jak i mąż pani Grażyny – Dominika szukała szybkiego ratunku. „Po co ruszyłam ten temat?”. – Wyjątkowy był ten pani Henryk i musiał bardzo kochać rodzinę.

– Cieszę się, że nie zamęczyłyśmy tymi naszymi historyjkami. Mnie one wydają się zajmujące. Tyle mi w końcu zostało po moim Henryczku. No i tych parę mieszkań. Martwi mnie tylko, że pójdzie to wszystko na zatracenie.

– Chyba nieco przesadzasz, siostrzysiu – pani Justyna nieśmiało zaprotestowała przeciwko czarnej wizji przyszłości.

– Przesadzam? Siedzi w domu po całych dniach i tylko ogląda to całe MTV (żeby chociaż do komputera zajrzał), obłożony szczelnie chipsami, orzeszkami, czekoladkami i kokosowymi batonami. I tyje, niedługo trzeba go będzie stamtąd wyciągać, jak pewnego amatora miodu. Mówię o swoim synu, n i e c n o c i e – w głosie pani Lipowicz pojawił się smutek. – Nic mu się w genach nie odłożyło po jego pracowitym i zaradnym ojcu. „Niezdolny syn”, zgroza! Prawie trzydzieści lat. Czy on się kiedy ożeni? W telewizji przecie narzeczonej nie znajdzie.

Fakt, zatrudnienia w Radzynie dla niego nie ma (Karolek ukończył „Precyzyjną”), więc go do pracy nie pędzę, ale czy nie mógłby się po prostu czymś zająć? Dla higieny ciała. Dobrze więc – pani Lipowicz nagle podjęła odkładaną decyzję – długo się nad tym zastanawiałam: jutro określę mu zakres obowiązków w kamienicy i wyznaczę stałą pensję. Nie zrobi, nie dopilnuje – nie będzie jadł.

– Bój się Boga, Grażko, taka surowość – Justyna aż pobladła. – Ja się z takimi drakońskimi metodami nie zgadzam. Porozmawiamy o tym później, dobrze? Ale, ale... Niko, chciała pani posłuchać o Hannie i tym jej Pawle? Mogę opowiedzieć, jeśli Grażka pozwoli. Kiedyś pracowałyśmy razem z Hanią.

– Pozwalam, pozwalam, chociaż to smutna historia, a mnie po smutnych opowieściach zawsze gniecie w wątrobie. Przejdźmy zatem na fotele. Niko, niech pani pomoże Justynie, a ja zabiorę kieliszki, filiżanki i talerzyki. Komu, komu jeszcze ciasta? Potem podam coś konkretniejszego.

„W mieście było kiedyś o tym głośno, wszyscy na ten temat mówili, ale – prawdę mówiąc – nawet nie wiem, jak się to skończyło. Pan docent wyjechał, dziecko zniknęło, a Hanna zamknęła się w mieszkaniu na dole. Czy ona tam jeszcze jest? Aha, rzeczywiście... Pozdrów ją ode mnie, Niko. Młodsza jest ode mnie o jakieś dziesięć lat chyba, więc Grażko, musi być w twoim wieku. Ona nie jest stąd, przyjechała do Radzyna na studia i zamieszkała u swojego stryja czy wuja, Kozłowski mu było. Ich dom stał, i pewnie jeszcze stoi, na drugim brzegu rzeki, na wzgórzu; taki niewysoki, z małym gankiem, kryty, pamiętam, śmieszoną szmaragdową dachówką, wokół rósł jabłoniowy sad. Chodziłyśmy do tego sadu z Grażką, dawno, dawno temu, podjadać te jabłka, ale nas stary Franciszek, ojciec tego Kozłowskiego, złapał i... i już nas mamusia więcej tam nie puszczała.

Zostałam kierowniczką wydziałowej biblioteki w Szkole, akurat wtedy, gdy ludzie zaczęli o niej, to znaczy o Hani, mówić. Bo ja mam ukończone Studium Nauczycielskie, ale zawsze pracowałam w bibliotekach; zdrowia nie miałam, żeby dzieci uczyć. W bibliotekach praca cicha, spokojna, jak mi nogi całkiem wysiadły, to jeszcze mogłam być pomocna przy wypisywaniu sygnatur i porządkowaniu katalogów. U ‘Humanistów’ podobało mi się i to, że człowiek miał stałe kontakty z ciekawymi ludźmi i ciągle coś się działo. A najwięcej za ‘Solidarności’. Oj, to były czasy. Czy ona jeszcze jest, ta ‘Solidarność’? Zdaje się, że jej zakazali? Ja już nie wszystko pamiętam, to było tak dawno. Ile to lat? Trzydzieści pięć? Mój Boże, nie do wiary!

Więc zaczęli mówić. O Hani, a bardziej o panu docencie Adamiku, Pawle Adamiku, Niko. Że się za młodymi dziewczynami ogląda, że im w głowach zawraca; a konkretnie chodziło o naszą Hanię, która wtedy na przedostatnim albo ostatnim roku była i pisała u niego pracę Magisterską. O chińskiej porcelanie, bo pan docent był specjalistą od chińszczyzny, sinologiem. O, to był prawdziwy autorytet w tych sprawach, kiedy raz zorganizował międzynarodową konferencję, to nawet jeden Francuz, uczeń tego słynnego Graneta, przyjechał i jeszcze jeden *znamienityj* – Wasiliew mu chyba było. Ich akurat pamiętam, choć już prawie czterdzieści lat minęło. A nasz młody pan docent wcale nie musiał się wstydzić i bardzo go wszyscy uważali, bardzo. I francuski znał, i angielski, i rosyjski, rzecz jasna, no, i chiński też chyba musiał znać biegle, prawda? A przystojny był, że wszystkie młode się za nim oglądały i tylko zakłady robiłyśmy, która parol na niego zagnie. A on długo nic i nic. Taki był zacięty na naukę. Z Uniwersytetu Jagiellońskiego do nas przyjechał i od razu go pełnoetatowym docentem zrobili. No więc, gdy zaczął kręcić ze studentką, ludzie na naszej uczelni od razu zrobili się czujni. Taki talent, a ma się zmarnować? Bo to wiadomo, jak się takie sprawy toczą, zawsze tak samo – trzask-prask i jest dzieciątko, dziewczyna znikąd, bez grosza przy duszy, więc liche dwa pokoje w domu akademickim, pieluchy, pensja docenta i jakieś korepetycje na boku, więc bida z nędzą i koniec marzeń o sławie, profesurze, o stypendium i paryskich czy choćby moskiewskich katedrach. Rok był chyba 1980, jakoś tak, bo jeszcze przed strajkami, tymi w stoczni, to się między nimi zaczęło. Ocet tylko był na półkach, pamiętasz Grażko? Twój Henryk po całych dniach w ratuszu musiał siedzieć. Stoczni już nie ma? O, to szkoda, szkoda wielka. Więc to było wtedy.

Kłopot był i taki, że oni – Hania i pan Adamik – pod bokiem tego wuja się spotykali (jakże mu to było, siostrzysiu? aaa, Kozłowski chyba) i on, stary a głupi, nic a nic nie podejrzewał; jeszcze im pomagał w tych schadzках, bo myślał, że pan docent korepetycje jego siostrzenicy daje. Więc jak się dowiedział, to z miejsca dziewczynę z domu przepędził, a ona już z dzieciątkiem w brzuchu chodziła. O tym to już mało kto prawdę znał, bo Hania nagle zniknęła z Radzyna, ja akurat wiedziałam, bo pan Paweł umieścił ją u swojej siostry w Olchowcu, Cecylii, a to była moja serdeczna koleżanka ze Studium i spotykałyśmy się czasami; do Olchowca przecież jest wszystkiego ze trzydzieści kilometrów i autobus co trzy godziny kursuje.

Tu muszę ci powiedzieć, Niko, że nie byle jaka panna była z tej naszej Hani. Nie to tylko, że urodziwa, bo rzeczywiście, ładna była i miała takie blond loki, aż po ramiona, ale koleżanki z dziekanatu mówiły mi, że takiej zdolnej studentki to dawno w Szkole nie było, nawet za Jagiellonki. Same piątki w indeksie, jakieś nagrody czy stypendium; ja już tego nie pamiętam,

to było tak dawno. Więc, żeby nie było fałszu jakiegoś, że on głupią gęś sobie przytulił, o nie. Ale zbałamucił ją w końcu, zbałamucił na amen, bo czy to dziwne, że zaimponował dziewczynie, on sławny naukowiec i elegancki, przystojny mężczyzna, w sile wieku, nie mydłek jakiś, ani nie brodaczy w drucianych okularach i kraciastej nieświeżej koszuli, jakich pełno było wtedy przy niej; jeden zdaje się szczególnie krzywo na to patrzył, jakiś kolega z roku, Adam czy Artur mu było. Przychodził ten cały Adam do nas, do biblioteki i wyżałał się na zły los i pomstował na pana docenta, że strach było słuchać. To był chyba jakiś znajomy naszego pana Gejera, tego, co teraz u nas pod dziewiątym mieszka. Słyszałam, że ten Adam (a może Artur) w Olchowcu potem osiadł i jakieś ważne stanowiska piastował, ale to dawno było, więc mogłam coś pokręcić. Należcież mi trochę soku, bo mi całkiem w gardle zaschło.

Dalej? Dalej było tak: po cichu wzięli w tym Olchowcu ślub, chociaż ona, zdaje się, nie za bardzo chciała, taka dumna była. Urodziła dziecko, dziewczynkę, i została tam jakiś czas, chyba ponad pół roku, a pan docent po starym mieszkał w Radzynie i tylko do nich dojeżdżał. Ludzie coś tam i wiedzieli, musieli wiedzieć, ale to była taka niby tajemnica, nic oficjalnie, więc na uczelni też udawali, że wszystko jest po starym. I to także słyszałam, że w Krakowie, na Uniwersytecie nic a nic nie powiedział o młodej żonie i dziecku. Koniec końców zostawili dzieciątko pod opieką Cecylii, Hania wróciła do tych, jakże im? o, Kozłowskich, i zaczęła pracować w naszej Szkole, jako asystentka-stażystka. Pan docent pracę jej załatwił, u siebie w zakładzie. Mówiło się, że przewód doktorski pomoże jej otworzyć na Jagiellonce; mnie to wcale nie dziwiło, bo ona bardzo zdolna była, ale ludziska po kątach szeptali, że ten etat dostała po znajomości. Bo muszę wam powiedzieć, że działo się to wszystko za 'Solidarności', a ludzie ze Związku to strasznie uważali, żeby nikt nie robił przekrętów ani po protekcji czego nie załatwiał. Dziwne to czasy były, oj dziwne. Ale tak podle mówić mogli tylko ci, co pana docenta Adamika nie znali, bo przecież nie było uczciwszego człowieka niż on i większego wroga komunistów. Na początku to nawet został wiceprzewodniczącym nowych związków na całej uczelni, ale potem już tylko jakieś wykłady organizował i do Gdańska i Warszawy jeździł. Po co, to już nie wiem, lepiej było wtedy za dużo nie pytać. Chodziliśmy na te wykłady, pamiętasz Grażko? Różni ludzie do nas przyjeżdżali, ale najbardziej utkwiał mi w pamięci jeden elegancki i wygadany ksiądz; on już chyba nie żyje od dawna...

No i skończyło się, jak się spodziewaliśmy. Ze związkiem też, ale teraz mówię o panu docencie. Napadły go jakieś zbiry w ciemnej uliczce i tak skatowały, że trzy dni bez tchu leżał. Kto mu to zrobił? Jedni mówili, że to publiczna zemsta, drudzy, że prywatna. Dobrze, że zaraz potem – jak już trochę wydobrzał – trafił mu się wyjazd na stypendium naukowe na

Zachód, bo by go tu dranie zamęczyły, jak wielu innych. Jak tego Baczko, pamiętasz Grażko? Ze studiów chłopaka wtedy relegowali, na pierwszym chyba był roku, do wojska go – zdaje się – wzięli i dopiero po paru latach mógł się reaktywować. Czy to nie jest aby ten...? Jak to się los dziwnie plecie. Hania? Hania została tutaj, ale wiem, że się do pana docenta wybierała. Ale się nie wybrała, bo przecież trzynastego grudnia stan wojenny wprowadzili, i już ani pana Adamika tutaj, ani Hani tam nie puszczali.

To był zły czas dla nas wszystkich i niech mi nikt nie mówi... Moje drogie, ile ludzkich losów ten czas przetrzącił. I nie myślę nawet o tych, którzy na pierwszej linii gdzieś stali, w deszczu albo spiekocie, bo tak im Przypadek podpowiedział lub Wybór nakazał. Nie, ja na myśli mam tych zwykłych, zwyczajnych, tych, co to akurat zaczęli życie i tak wiele sobie po nim obiecywali. Już, już się mieli wzbąć w powietrze, polecieć, wysoko, wysoko, pod niebo same, a tu nagle poczuli, że coś ich trzyma za nogi, że w jakimś błocie się chlapią, w brudnej kałuży ze skrzeczącymi lelkami siedzą, że to nie powietrze, przejrzyste i czyste, tylko mgła zimna ich ogarnęła i widać ledwie na metr, na dwa. I czy to droga jeszcze przed nimi, czy już w rowie jakimś tkwią gliniastym, bezradni i opuszczeni? Tak też być musiało i z naszą Hanią, tak samiutko. Wchodziło się do tego ich 'Gołębnika' (bo Zakład Kultur Wschodnich mieścił się na ostatnim piętrze budynku, prawie już na samym strychu), a tam patrzysz – wszyscy nieruchomo siedzą i herbatę cienką piją, czy kawę 'Selekt', grubo mieloną. Jeden coś powie, drugi coś powie albo nie powie, cisza. Posiedzą, popatrzą albo nie popatrzą, koło południa rozejdą się do swoich pokojów, tam otworzą książki albo nie otworzą, przeczytają coś albo nie przeczytają, pomyślą o czymś nowym, odkrywczym albo nie pomyślą. Pod wieczór wyjdą z tych pokojów swoich albo nie wyjdą i pójdą do domu albo położą się na rozkładanych amerykankach i zasną albo nie zasną, co na jedno wychodzi, bo ta sama mgła ich ogarnie, co i rano, więc jaka różnica?

Ona pracowała jeszcze do końca roku akademickiego jako asystentka, ale potem ją wyrzucili z dydaktycznego etatu i przenieśli do nas, do biblioteki, i sen o doktoracie się skończył. Nie wiem, czy korespondowali ze sobą, ona była bardzo skryta i niewiele nam chciała mówić; zdaje się, że jacyś ludzie wozili im listy. Zamknęła się w sobie całkiem, nie wiem, czy miała jakąś przyjaciółkę, prawie z nami ani ze studentami nie rozmawiała, tylko: 'Dzień dobry, proszę podać mi ten skrypt, odłóż – proszę – książkę na półkę, do widzenia'. W końcu, po paru latach odeszła z naszej biblioteki i z naszej uczelni – poszła pracować do liceum, też do książek. Nigdy – o ile wiem – nie wyjechała do niego ani on nie przyjechał tutaj. Czemu po

tym 89. nie spotkali się (chyba nie pomyliłam roku?), tego nie rozumiem. A może czegoś nie wiem? Potem zrezygnowała również z tej szkoły, z przyczyn zdrowotnych chyba, i zawitała tutaj, do nas. Siedzi tak kamieniem, ale o tym to już Grażka jest lepiej poinformowana. Mieszka tu już chyba z dziesięć lat, czynsz opłaca jej bank, prawda siostrzysiu? Może te pieniądze to od niego, od pana Adamika? I tyle. Dziecko? Aaa, dziecko... Moja Niko, ono na pewno umarło, bo Hania, w czasie, gdy u nas pracowała, chyba nie jeździła już do Olchowca. Ani słowem też nie zdradziła się, że urodziła córeczkę. Dziwne. Cecylia też nie chciała o tym mówić, sama nie wiem czemu.

\*

... I trzeba ci wiedzieć, że oni mieli sposób na to, by dzwon nie pękał w czasie wytopu i by dźwięczał absolutnie czysto. Ostatecznie umieli zrobić taki, który waży ponad sto ton. Ten ich największy dzwon, wiszący w Pekinie, odzywa się tylko raz w roku, na powitanie Nowego Roku. Nasz wawelski „Zygmunt” ma ledwie coś około piętnastu, masz więc porównanie.

– Co to za sposób, pani Hanno?

– Trzeba do roztopionego spizu dodać krew młodej dziewczyny, dużo krwi...

– Pani żartuje.

– Nie, oni czasami naprawdę tak robili. Szczególnie wtedy, gdy dzwon miał ostrzegać przed najazdem wrogów, barbarzyńców. Są o tym legendy, są i bajki, ale w każdej bajce jest trochę prawdy. Zdradziłam ten sekret naszej pani Lipowicz, nie sądzę jednak, aby stary Fuliński zmienił technologię. Czy wiesz, że ona jest z domu Fulińska? Byłaś we wtorek u sióstr na podwieczorku? I jakże się mają panie posesjonatki? Znalazłaś je w dobrej formie? *Pardon*, druga tam tylko rezyduje. „Sadzi pietruszkę”, który to już rok z rządu?

– Hanno... niechże pani już przestanie, coś panią dziś ugryzło. Proszę mi lepiej powiedzieć, czy nie wybrałaby się pani ze mną na wycieczkę do Olchowca, w najbliższą niedzielę jestem zaproszona do pań z „Domu pod gontami” na koncert skrzypcowy. One podobno urządzają tam czasami takie plenerowe muzykowanie. Przyda mi się mały oddech po jazzowych emocjach.

Pierwsza odsłona „550 jazzowych minut” była nadzwyczaj udana, Al grał swobodnie jak za dawnych lat, bawiąc publiczność, swoich partnerów i chyba siebie samego, ale Dominikę ogarnęła potem fala ogromnego zmęczenia i wdzięczna przyjęła propozycję spędzenia dwóch dni poza miastem. Hanna jednak nie dała się namówić. Zesztywniała na dźwięk słowa „Olchowiec” (tak wydało się Dominice) i odezwała się chłodno:

– Szkoda, myślałam, że porozmawiamy o sztuce. Chcę ci coś pokazać, pewne listy, cóż, trudno, odłożymy to o parę dni – przyjrzała się uważnie dziewczynie. – Jakaś ty piękna, Niko. *Une belle plante*, to zmęczenie dodaje ci nawet uroku. „*Yao* ma liście gęste, kwiaty żółte, a owoce jak kanianka. Kto je zje, będzie się ludziom podobał”. Jadłaś *yao*, Niko? Stań tak, o tak – przechyliła jej głowę, odgarnęła warkoczyki z czoła i zarzuciła na szyję swój biały jedwabny szal, przetykany srebrną nicią. – Przepraszam, w ich kulturze szyja to fragment ciała kobiety szczególnie wstydlivy. Taak, gdybym była mężczyzną, mogłabym się w tobie z miejsca zakochać. Ja też czuję się dziś zmęczona, ale mnie to odbiera resztki powabu. Paweł... Zaczekaj jeszcze chwilę, usiądź, powiem ci o pewnych sprawach, które zajmują ostatnio moją uwagę. Kłamię, kłamię w żywe oczy! – zabrała szal Dominice. – To tkwi we mnie od lat. A od pewnego czasu myślę o tych rzeczach stale.

„Zetknęłam się z tym już na studiach. Każdy, kto bada ich historię, kulturę, nie może o tym nie pomyśleć, choć przez chwilę. W człowieku naszej zachodniej, europejskiej cywilizacji, która – zauważ – paradoksalnie, w jakiejś mierze też wywodzi z Azji, tyle że z tej bliższej nam południkowo, drogą naturalnego doboru różnych religii, filozofii, obyczajów, a także zapewne geograficznych warunków (to gwiazdziste niebo na pustyni i ten samotny namiot nomada) wyrzeźbiło się nie tylko pożądanie boga jedyne, ale także życia wiecznego, życia po śmierci, do końca świata i dalej. Odwrotnie niż w buddyzmie czy konfucjanizmie, my oczekujemy wieczności, chcemy trwać w nieskończoność, a najchętniej w takiej postaci, w jakiej nas tu umieszczono. Z jakichś, dla mnie nie do końca zrozumiałych, względów chcemy przedłużyć, odmienić życie, licząc wszakże na to, że pozbawione ono już będzie cierpienia, bólu, chorób, nieszczęść. Z jakichś powodów mamy nadzieję, że ‘jest’, ‘gdzieś’ świat, w którym nie ma codziennych informacji o rodzinie, która zginęła w wypadku samochodowym, o dziewczynce zagryzionej przez psa, o pewnym chłopcu i jego kolegach rozerwanych na strzępy w metrze przez bombę szaleńca-zamachowca, czy starej kobiecie uduszonej przez ulatniający się skrycie gaz, świat, w którym nie wydłubuje się oczu kotom ani nie krzyczy: ‘Hej, Żydzie (Cyganie, czarnuchu, geju, przepraszam Niko), czego tu szukasz między porządnymi ludźmi?!’. Wierzimy w takie rozstrzygnięcia, licząc na boskie miłosierdzie i jakieś elementarne poczucie boskiej sprawiedliwości... więc duch rozplywający się w niebycie albo dusza uciekająca z nienawistnego koła wcieleń, znikająca w czasie i przestrzeni, roztapiająca się jak kropla deszczu w oceanie, to pomysły dla nas zgoła abstrakcyjne, niezrozumiałe i po prostu nieatrakcyjne. Trwać, trwać, trwać – oto cel. To nasze przywiązanie do świata, za wszelką cenę, ta nasza chęć bycia, gdziekolwiek, nawet i w piekle, w jego

najniższym kręgu, śmieszyły mnie, od kiedy stałam się rozumną istotą. Jeśli idzie o mnie – życie wieczne przypominało mi toczenie wazonu z gliny, toczenie, które nigdy nie ma końca; obracasz koło, obracasz, dokładasz gliny, modelujesz, formujesz, ale nigdy nie zobaczysz, co zrobiłeś. ‘Osoba nieśmiertelna to sprzeczność w przydawce’ – wydawało mi się wcale trafne i tak by zapewne pozostało, gdyby nie Paweł i to, co się między nami wydarzyło.

Nie powiedział mi nigdy, kiedy go to naszło, ale podejrzewam, że wchodzenie zbyt mocno w obcą skórę, zagłębianie się bez opamiętania w tak różną mentalnie, kulturowo cywilizację musi niechybnie, wcześniej czy później, skończyć się jakąś aberracją. Która u niego zaczęła się od chorobliwej nienawiści do wszystkiego, co miało jakiś związek z biednym Mistrzem K’ung. Konfucjanizm był dla niego w Chinach tym, czym dla nas były rządy komunistów. Konformizm, bezkrytyczne słuchanie cesarza, doprowadzona do absurdu etykieta, poglądy: ‘szczerłość to ujawnianie uczuć, jakie się mieć powinno’ – to wszystko przypominało mu aż nadto rzeczywistość, która była wokół; on chyba dokonywał projekcji tego, co było tutaj, u nas – na czasy dawno minione, zapominając, że u podłoża tamtej ideologii tkwiło przecież głębokie myślenie o tradycji, moralności, rodzinie... Tak wkręcając się w ten antykonfucjanizm, mimowolnie przeszedł na stronę przeciwną, do obozu Laozi i Zhuangzi. Co proponowali obaj mistrzowie Dao i ich następcy? W dziedzinie etyki i polityki społecznej nie byli zbyt mocni, problemy filozoficzne i kosmogonia – to było zbyt abstrakcyjne dla ówczesnych władców cesarstwa, zatem zwrócono się w kierunku zaniedbanym – ku mistycyzmowi, wierzeniom, obrzędom, a przede wszystkim ku... nieśmiertelności. O, to było coś, co mogło szczerze zainteresować cesarzy i ich świtę. Tego nie było w konfucjanizmie. Ani potem w ortodoksyjnym buddyzmie. Nie nudzę zanadto?

Co o tym wiemy? Zamiast roztopić się jak wiosenny śnieg, wyparować jak owa kropla wody, zniknąć na wietrze jak kwietny pył, człowiek zyskiwać miał nieśmiertelność (a przynajmniej długie, bardzo długie życie, tysiąc lat i więcej) i... – tu poglądy mędrców różniły się – żyć wśród bogów, Nefrytowego Cesarza, Lao Kün, Pan-Ku, między ośmiu nieśmiertelnymi albo wśród nas ludzi, duchów i demonów, smoków, feniksów. Jak tego dokonać? Elikzir! Xiwangmu, żona Łucznika I, była dysponentką eliksiru, boginią nieśmiertelności, w jej ogrodach rosły cudowne drzewa wiecznego życia, takie same wyrastały też na zboczach góry Kunlun, pamiętasz ją z legendy o perle? Innym bóstwem nieśmiertelności była Sou Xing, przedstawiana na jeleniu, z gałązką brzoskwiniową. Symbolami owego pożądanego stanu były brzoskwinia, bambus, zółw.

Sprawa szczerze zainteresowała Pawła, opowiadał mi o tym nieraz. ‘Bo co możemy uczynić w naszym krótkim życiu? Jaki sens ma tych raptem kilkadziesiąt lat? Spójrz: głęboka



sprzeczność tkwi w chrześcijańskim myśleniu o nieśmiertelnej duszy, które przypisuje tak wielką wagę temu, co robimy przez małą chwilę, tu na Ziemi. Więc właściwie dlaczego by nie? Dlaczego by JEJ jednak nie zaprzeczyć? Wbrew wszystkiemu i wszystkim'. Miał śmierć na myśli. Prowadził badania tekstów, konsultował się z kolegami chemikami i biologami. 'Pierwszy Cesarz zmarł, szukając eliksiru nieśmiertelności, ale oczywiście odpowiednie modyfikacje genetyczne mogłyby okazać się skuteczne. Pewne badania są już mocno zawansowane'. Nie muszę ci mówić, że poszukiwania nadwornych magów, aby obdarzyć cesarza cudownym preparatem, nie były udane, wielu z tych mędrców ukarano na gardle albo wykastrowano. Paru cesarzy zmarło śmiercią gwałtowną; przypuszczamy, że zatruli się solami rtęci. Długa seria niepowodzeń z eliksirami z czasem nieco zmniejszyła zainteresowanie tym sposobem. Ale rozpoczęły się poszukiwania innej drogi. Nie zapominano przecież zupełnie o tamtej...

Idź już, rozboleła mnie głowa, czuję się ogromnie zmęczona i słaba. Tyś też dziś nie w formie, a jutro czeka cię wyjazd do tego miasteczka. Weź parasol. Będzie padać, bo ptak Shang Yang podskakuje. Uważaj na siostry i tego ich brata, ludzie mówili, że mieli coś wspólnego ze śmiercią swojego sławnego ojca. Innym razem dokończymy tę moją opowieść. Teraz posłucham sobie, jak jeden z mych przyjaciół gra Chopina. Do Chopina trzeba mieć intuicję. A oni ją mają.

Między framugę drzwi i ścianę wetknięto złożoną na czworo kartkę. W słabym świetle lampy dostrzegła u dołu podpis: „M. Baczek”. Przynęła papier blisko oczu i przeczytała kilka zdań skreślonych niewyraźnym, drżącym pismem (a może żarówka tak migoce?): „Droga Pani, ja również zostałem zaproszony na spotkanie w ‘Domu pod gontami’. Niestety nie dysponuję w tej chwili samochodem. Czy byłaby Pani tak uprzejma... Niskie ukłony...”.

W rzeczywistości zabrano mu prawo jazdy, jak prorokował złowieszczo Gejer, w okolicznościach łatwych od przewidzenia. Czekał teraz na ostateczne rozstrzygnięcie, próbował gdzieś dzwonić, z kimś się spotykać, u kogoś interweniować, coś załatwić. Małe były szanse i raczej próżne nadzieje; czynił te wysiłki po to, żeby nie mieć wyrzutów sumienia, że zaniedbał. Nie miał zbyt wesołej miny, samochód stał bezradnie na parkingu, a on jechał teraz okazją z tą nieznaną mu kobietą i trapił się głównie tym, że zamiast myśleć o straconych klientach, do których nie dojedzie i z którymi się nie spotka, kłopotczy się tym, czy drinki podadzą już przed południem, czy przyjdzie mu czekać aż do wieczora. Miał na tę sytuację przygotowany wariant ratunkowy, który spoczywał na dnie niedużej torby, pod pizamą, rękawnikiem i koszulą na zmianę, ale po co uruchamiać skromne już rezerwy? Deszcz

siąpił od rana i wiało, co pogarszało jego nastrój i tak dostatecznie zepsuty wczorajszym wieczornym telefonem od byłej żony. Nie, nie zgodzi się tak łatwo na zaproponowany podział majątku, ostatecznie w pierwszym etapie ich małżeństwa też co nieco włożył do wspólnej kasy. Że później (już znacznie później, Wysoki Sądzie, znacznie później) to ona utrzymywała dom i łożyła na naukę ich syna z tego jej bieliźnianego interesu, a on miał „inne wydatki”? Czasem tak bywa, proszę Wysokiego Sądu, kiedy człowiek nagle, któregoś poranka odkrywa, że ból głowy, suche pieczenie w ustach i ucisk w klatce piersiowej to nie tylko wynik nieprzespanej nocy i zbyt wielu wypalonych papierosów.

– A pani – wyjął zapalniczkę z kieszeni płaszcza i zaczął ją obracać w palcach – czy i pani zdarza się takie uczucie, że wszystko idzie nie tak, jak się kiedyś zaplanowało? Albo, że wpadła pani w grząską koleinę i za diabła nie może się z niej wydostać? A jeśli tak, to czy zna pani jakąś uniwersalną, skuteczną metodę wygrzebania się z tego? Jakieś zaklęcie na przykład. Czary-mary. Kontaktuje się pani z naszą czarownicą, może ona zdradza pani przepisy, gotuje ziołowe wywary, uciera mikstury z grzebienia koguta i żabiego skrzeku? „Idź do piekła, boś ty brzydka”. Nie – pokręcił niechętnie głową – jest pani za młoda i jeszcze nie miała okazji, by skonfrontować rzeczywistość z marzeniami. Na to jeszcze ma pani czas.

Dominika spojrzała na niego kątem oka, poprawiła rękę na kierownicy. Droga do Olchowca zbliżyła się do koryta rzeki i zaczęła wraz z nim nieznacznie skręcać w kierunku samotnego szczytu na horyzoncie.

– To Góra – radca zakaszlał brzydko, głucho. – Wygląda na to, że nie jest dziś przychylnie do nas usposobiona. Ale ja zawsze odnoszę takie wrażenie na jej widok. Niektórzy ludzie sądzą, że skrywa niejedną tajemnicę. Więc, koleżanko zza ściany?

– Więc, nieznajomy panie, a właściwie znajomy z korytarza, poznany jednak w porze i okolicznościach niesprzyjających kontaktom towarzyskim... więc, ponieważ jest pan dla mnie kimś zupełnie, ale to zupełnie obcym (wyjąwszy owych parę chwil pod żarówką) powiem panu coś, czego nie powiedziałabym nikomu i nigdy. Ponieważ nie mam w zwyczaju obarczać ludzi swoimi problemami i rozterkami. Mam dylemat... i akurat zastanawiam się, jak go rozwiązać. Po to właściwie przyjechałam do Radzyna – żeby znaleźć dystans. Ziół odpowiednich na rozwiązanie życiowej niemocy nie znam, a żadne hokus-pokus też chyba nie istnieje. Może jest sposób – raz na zawsze przeciąć wrzód, który nas gnębi i dręczy. Tak właśnie postąpię w przypadku człowieka, z którym jeszcze jestem, i radzę tak samo: z miejsca ukreć łeb hydrze, która pana zżera. Z tym, że w pana przypadku sugeruję wspomóc się pomocą terapeuty; jeśli trafnie odbieram pewne sygnały. Mój Błażej – zawahała się – Błażej był... jest żonaty i w związku ze mną próbuje znaleźć to, czego nie dała mu tamta, dość

chłodna, nawet wredna, trzeba przyznać, kobieta. Chciałam mu to dać, ale on postawił parę warunków. Trudnych, bardzo trudnych. I bez tego przecież mogłabym... więc przypuszczam, że on bardziej kocha siebie niż mnie. Wypełnienie ich wiązałoby się z porzuceniem tego, w czym znajduję radość, w czym jestem dobra i mogę być jeszcze lepsza. Niech mnie pan źle nie zrozumie, nienawidzę słowa „sukces” i nie żyję dla tego ulotnego, nieokreślonego, uludnego „czegoś”. Ale swoje obecne życie lubię, nie zamierzam dać się zamknąć w innym, więc ukręcę łeb zmorze, która mnie gnębi i to jest mój sposób na wydostanie się z jej mocy. Niech pan też uczyni tak samo, choćby od dziś. Jestem naiwna, prawda? Przychodzi taki czas w życiu człowieka, że już niewiele da się zrobić... Czy to już Olchowiec, tam za drzewami? Widać dwie wieże, pewno kościół i ratusz. Podobno pan maluje, na szkle, czy mogłabym coś kiedyś zobaczyć?

„Proszę nie skręcać do miasteczka, tylko na rozwidleniu dróg jechać prosto, przez most koło szkoły, i dalej w głąb doliny, w kierunku Góry, wzdłuż strumienia. Górę trudno przeoczyć. ‘Dom pod gontami’ znajdzie pani u końca kotliny, po prawej stronie; ledwo go widać, bo od drogi oddzielony jest głęboki jarem i murem gęstego lasu. Zostanie pani do niedzieli? Dom zbudował nasz nieżyjący już ojciec. Budynek jest drewniany i naprawdę duży, ale przytulny; nigdzie tak się pani nie wyśpi, jak u nas. Wieczorem będzie ognisko...”

Wjechali na polanę przez wąską betonową kładkę, przywitali się z mieszkańcami.

„Wejdźcie pod okap, gonty mają już swoje lata, ale topolowe drzewo trzyma się dzielnie. Olga i Natasza – moje siostry i Dionizy – mój brat”, Anna Tochman dokonała szybkiej prezentacji.

„Olga uczy w liceum w Olchowcu, jest tam dyrektorem, najlepszym w historii tej budy, wybiera się niebawem na emeryturę, ale czy tam dojdzie? To ona tak naprawdę jest w ‘Gontach’ gospodarzem, my z Nataszą tak tylko tu sobie siedzimy. Już ładnych parę lat... Dobrze nam tutaj, świat nas nie lubił, my go też nie za bardzo, a w Dolinie jest jak u Pana Boga za piecem. Tak, nie myli się pani, to t a sławna Natasza Tochman. Czasami jeszcze proszą ją, by przygotowała jakiś spektakl, wtedy opuszcza nas na chwilę, a my wtedy bardzo, bardzo za nią tęsknimy. No, ja też od czasu do czasu wyjeżdżam na wernisaż, ostatnio rzadziej, widać moje instalacje nie budzą już takiego zachwyty jak dawniej... Dionizosie, chodź tu do nas. Mieszka trochę z nami, a trochę z matką, tuż za tamtym zagajnikiem. Zosia często słabuje, dziś też chyba nie przyjdzie. Dionizy to nasz brat przyrodni, właściwie przyrodni brat moich sióstr, bo ja jestem adoptowana, dokooptowano mnie do tej rodziny, gdy byłam małą dziewczynką. Ja nie narzekam, a wy? Skomplikowane, prawda? Tworzymy

ciekawy zestaw, w dodatku one są w połowie Rosjankami, a ja stuprocentową Żydówką. Naprawdę! Takie wariactwo. Tylko Dionizy jest czystej krwi. Nasz Dionizos uczy w tej samej szkole, w której dyrekturuje Olga, i pewnie też pójdzie w dyrektury; oni dwoje są w tej rodzinie normalni, w przeciwieństwie do nas, artystek. Widzę, że nadjeżdżają kolejni goście. Przepraszam na chwilę, weźcie sobie coś do picia, wejście do kuchni jest, o, z tamtej strony (Maciej wie gdzie; a propos, czy mówił pani, że za młodu też miał się reżyserowania, z powodzeniem – w dobrym studenckim teatrze), pooglądajcie naszą aktualną wystawę w holu. Z prawej wiszą mało znane prace ojca, z lewej parę moich malowanek z minionej zimy. Olga! Natasza! Zjechał dwór z Olchowca, bądźcie tak miłe i dołóżcie honoru do swoich obowiązków. Na razie, zaraz wrócę, Niko. A gdzież to podział się nasz radca?”

Koncert młodego Jakowicza („jego stryj grał tu przed laty, jeszcze żył Ksawery, nasz ojciec, sławny rzeźbiarz i grafik”) zaplanowano na godziny późnopopołudniowe. Wcześniej dla tych, którzy przyjechali przed południem, specjalnie zaproszeni, przygotowano obiad w altanie pod różami. Deszcz na szczęście przestał padać, jeszcze tylko gdzieniegdzie kapały wstydliwie ostatnie, spóźnione krople; zza chmur wychyliło się nagle ostre, gorące słońce, „uprzejmy dar od Góry, na nasze wyraźne życzenie”, polana zaczęła parować i dymić. Dominika stała pod altaną i patrzyła oczarowana.

Dwór olchowiecki objawił się w osobie byłego burmistrza, a obecnie prezesa spółdzielni mieszkaniowej, jego żony, córki i zięcia. „Prezes łaskaw jest sponsorować tegoroczny cykl koncertów. Bardzo to wielkoduszne z jego strony”. Na obiedzie zjawili się również przyjaciele i znajomi gospodarzy. Młodzi ludzie, ona i on, mieszkający gdzieś po drugiej stronie Góry (Dominika nie dostyszała nazwisk ani imion), dwie starsze nauczycielki, dawne koleżanki Olgi ze szkoły, Joanna i Cecylia („Cecylia?”), proboszcz parafii olchowieckiej, wysoki i chudy jak chmielowa tyka ksiądz Morawiec („W daalszym ciągu nie wi.. widuję obu pań w niedzielę na... na mszy. Mó...mówiłem już Oldze, że Pan Bóg jest cier... cierpliwy, ale nie... nie należy napinać stru... struny ponad miarę. Aneczko, jak wy robicie tę oorzeczówkę? Mo... moja nie wychodzi taaka gęsta”). Jeszcze ładna, milcząca kobieta, wpatrzona w Dionizego jak w obraz, i starszy, siwy jak gołębek księgarz czy antykwariusz, który nie bardzo chyba słyszał, co się do niego mówi („Pan Piotr o Olchowcu wie wszystko. A jak się ma pan Marek, nasz sławny olchowiecki pisarz? Marek! Tak, Marek! Są o nim jakie wieści?”).

– Mówiła mi Anna, nasza gospodyni, że zatrzymała się pani przy Kościelnej Tylnej, u Grażyny Lipowicz – eksburmistrz-prezes wytarł starannie talerz skórką chleba, wypił duszkiem kompot i wygodnie rozparł się w fotelu. Nachylił się przez stół i cicho spytał: –

Jakże się ma pani Żmigrodzka? Hanna Żmigrodzka. Poznała ją pani? Czy nadal siedzi zamknięta na cztery spusty i nosa z domu nie wychyla? Całkiem zdziwaczała... Kiedyś kochaliśmy się w niej wszyscy, my – to znaczy brać studencka. Ale ona wolała starszego, który i tak ją puścił w trąbę. Mówię cicho, bo Cecylia, tamta damulka koło Olgi, w czarnej koronkowej bluzce, to siostra byłego męża tej Żmigrodzkiej.

– Byłego? Czy pan...

– O, przepraszam, myślałem, że siostry dokonały cichej prezentacji. Ta przesadna, wieczna dyskrecja – prezes podniósł się z fotela i pocałował Dominikę w rękę. – Jestem Artur Malczyk, dawniej gospodarz tych ziem, nadal jeszcze w służbie czynnej...

– Tak, słyszałam, jest pan prezesem spółdzielni...

– Mieszkaniowej, droga pani, mieszkaniowej. To taka specjalna spółdzielnia. Budujemy luksusowe apartamentowce nad Czerumą, nad naszą rzeką – wyjaśnił. – Ona dalej płynie przez Radzyń. Zapraszam do nas, pokażę ofertę, mamy dobre ceny, do końca roku promocyjne, a nigdzie nie znajdzie pani takich warunków do wypoczynku, jak u stóp naszej Góry. Nawet sanatoria tu się pobudowały. Latem lato, a zimą zima. I ten zapach dzikich górskich ostępów. Czegóż chcieć więcej?

– To pan... to pan kochał się w Hannie. Opowiadała mi o was Justyna, siostra pani Lipowicz.

– Fulińska? Babcia Fulińska jeszcze żyje? Kochałem się w Hani i ja, ale nie miałem szans. Może na początku, ale ona potem oszalała na punkcie tego Adamika, docenta Adamika – znowu ściszył głos. – Nic się nie dało zrobić, choć próbowałem. Może i lepiej? – spytał sam siebie. – Nie byłbym tu, gdzie jestem. A przecież jestem całkiem-całkiem. No, niechże pani powie, czy burmistrz i prezes to zły dorobek? I jeszcze piękny dom, nawet dwa domy, bo drugi w budowie; zgodna, wyrozumiała – mrugnął okiem – żona, odchowane dzieci, niedługo wnuki – pokiwał z zadowoleniem głową. – A powiedziałem: „byłego męża”, bo Paweł Adamik podobno zmarł, gdzieś na obczyźnie – w Australii czy Nowej Zelandii. Aż tam go wywiało... Uuu, pan radca Baczko – Malczyk zmienił temat na widok Macieja wynurzającego się z bocznych drzwi domu – miło pana widzieć u nas. Musi pani wiedzieć – zwrócił się znowu do dziewczyny – że my z m e c e n a s e m znamy się jeszcze ze studiów. Ale pan Maciej nas nie polubił i szybko opuścił. Przeniósł się do Krakowa, no pewnie, pewnie, Kraków!, każdy chciałby tam studiować. A pan Baczko znał docenta Adamika, nie mylę się chyba? Rozrabiali wtedy razem na tej naszej uczelni, oj rozrabiali. To był typ konfliktowego człowieka ten Adamik i nie mówię tego jako jego – hmm – rywal. O zmarłym nie można źle mówić – zmitygował się. – No, co to były za czasy! – roześmiał się rubasznie. – Romantyzm i

przygoda. *Prosit*, mecenasie, a proszę kiedyś do mnie zajrzeć, do firmy. Co też się z panem dzieje? Różnie mówią.

– Zdrowie pana prezesa. Dziękuję za pamięć, wszystko w porządku, pokażę się na pewno – Baczko ciężko usiadł przy stole. – Ze studiów w Szkole mnie wyrzucono – powiedział głośno, tak by wszyscy usłyszeli – bo tamta władza nienawidziła aktywistów NZS. Ci z pierwszego roku nie mieli żadnej tarczy ochronnej. Dwie szybkie dwójki, komis i do widzenia. Byli tacy spece od odsiewu. Już tam nie wróciłem, po przymusowym woju moja, wówczas przyszła, żona zadecydowała za mnie, że lepiej studiować prawo niż nikomu niepotrzebną historię sztuki (przepraszam panią, Olgo). Miała rację, drodzy państwo, miała rację, ta moja, teraz już była, żona. Immatrykułowałem się na wydziale prawa i studiowałem potem w Krakowie zaocznie...

– Proszę państwa! Proszę państwa teraz o chwilę uwagi – pani Olga uniosła wysoko kieliszek. – Niech mi będzie wolno, w imieniu nas wszystkich, podziękować panu prezesowi Malczykowi za jego wspinałomyślność. Dzięki pomocy prezesa zaprosimy w tym roku artystów, jakich „Gonty” nigdy nie gościły. Takich nazwisk nigdy nie było na afiszach na remizie w Olchowcu. Nawet gdy żył tata. Świeć panie nad jego duszą – nagle zaśmiała się, a wraz z nią zaczęły chichotać jej dwie siostry. Również Dionizy uśmiechał się pod wąsem.

Goście stali przy swoich krzesłach i bili brawo. Skrzypek uklonił się i zszedł z zaimprovizowanej sceny, to jest drewnianego podestu ustawionego koło gazonu przed domem. „Niestety więcej bisów nie będzie, ale pan Jakowicz zaraz znów tu się pojawi, już bez fraka i skrzypiec. Zapraszamy do środka, na lampkę wina. Doskonały tokaj pomoże nam łatwiej wyrazić podziw i uznanie. Tokaj funduje nam dziś sklep...”

– Trzynasty Kaprys Paganiniego wymaga niemałej wirtuozerii, wręcz szatańskiej, ale taką samą trzeba mieć, organizując teraz imprezy kulturalne – Dominika lawirując między widzami, stanęła tuż obok znajomej pani Olgi, owej Cecylii.

– Aaa, to pani. To pani urządza nam w Radzynie jazzowy jubileusz. Winszuję, winszuję, syn naszego szkolnego kolegi był na koncercie amerykańskiego perkusisty i bardzo chwalił. Nieco to różne od Paganiniego, ale przecież także muzyka. Zaczną od jazzu, skończą na klasyce, taką mam nadzieję. Cecylia Adamik, miło mi.

– Pani Cecylio, czy możemy chwilę porozmawiać? Jestem znajomą... chyba nawet kimś bliskim – szukała dobrego słowa – dla Hanny Żmigrodzkiej. Tak naprawdę poznałam ją niedawno, parę tygodni temu, po przyjeździe do Radzyna, ale – Dominika zawahała się – ale

mam wrażenie, że ona czegoś ode mnie oczekuje. A ja – rozłożyła ręce – nie wiem, jak jej pomóc. Pani wychowywała jej dziecko... Jej i pani brata, czy tak?

– Tak – Cecylia ujęła ją za rękę. – Wejźmy do domu. Robi się chłodno. Wieczory ma zimne ten tegoroczny maj – odwróciła się i zawołała w kierunku grupki rozmawiających osób: – Joasiu, idę do środka! A ubierzcie swetry, jeśli chcecie jeszcze postać na zewnątrz. Licho nie śpi, szczególnie tu, pod Górą. Z Joanną i Olgą przepracowałyśmy kawał czasu. W liceum – dodała. – Ja uczę polskiego, Joanna biologii, a Olga – historii. No i łaskawie nam panuje, to jest – dyrektoruje. A kiedyś jej brat, Dionizy, obejmie tron. Wejźmy do domu, nie mogę już patrzeć na tego błazna – mówię o prezesie Malczyku – czemu one go tak honorują? Daje pieniądze, ale nie musimy mu się w pas kłaniać.

Ścisnęła mocno rękę Dominiki.

– Tak. Jej i jego dziecko. Berenikę. Proszę za mną, Niko.

– No i jak tam było w Dolinie? – był niedzielny wieczór i Gejer również wracał do domu. – Koncert się udał? A tu wielka bieda od wczoraj. Zaginęła dziewczyna, z obozu sportowców za rzeką. Policja jej szuka i straż wodna, nie mówiąc o kolegach i koleżankach. Znajdzie się – uspokajająco pokiwał dłonią. – Na pewno spotkała jakiegoś przystojniaka i... Ci młodzi mają pstro w głowach.

Popatrzył na nią smutno.

– Uciekają, znikają. No, maszerujemy na górę, pani pierwsza. Uwaga: ciemno!

\*

Dolegliwości jednak nie minęły, więcej: jakby się wzmogły, mimo że Dominika jadła regularnie domowe obiady i ograniczyła ilość wypijanych dziennie filiżanek kawy. A jeżeli... Nie, to przecież niemożliwe.

„Tak, ciąża. Jest pani w drugim–trzecim miesiącu. Ciąża może być zagrożona. Jak długo zamierza pani pozostać w Radzynie? Dam skierowanie na podstawowe badania. Zaraz po powrocie proszę skontaktować się z pani ginekologiem. Czy pani w ogóle chce mieć to dziecko?”.

*„... jednak moje oceny panowania cesarza Xüanzonga odbierane są tu jako mocno kontrowersyjne. Powszechnie bowiem w historiografii uważa się, że wyniszczenie kraju w wyniku buntu generała An Lushana, zmniejszenie ludności o połowę, spustoszenie wielu ośrodków, w tym największego wówczas miasta świata, stolicy państwa – Chang-an, to fakty,*

*które jednoznacznie wskazują na winowajcę. Opowiadałem Ci, Haneczko, jeszcze w Radzynie, jak to Xüanzong przyjął do swojego haremu piękną konkubinę Yang i jak wielka miłość, która zawładnęła cesarzem, doprowadziła do rywalizacji krewnych tej kobiety i potężnego generała; w końcu do wielkiej rebelii i tych tragicznych zniszczeń. Ja oczywiście nie zamierzam walczyć z historykami, ale ich jednowymiarowej ocenie przeciwstawiam jego osobisty, poniekąd, wkład we wspaniały rozkwit kultury w tym właśnie czasie, rozkwit, jakiego nie spotkasz ani wcześniej, ani później (nie chcę znów wracać do naszych dyskusji czy Tang, czy Song, zostawiając spór stale otwartym i zapewne nierozstrzygniętym). A którego zwieńczeniem jest dzieło mojego ukochanego Wang Wei, powstałe jakby pomimo tych tragicznych wydarzeń. Jakie to dziwne, że pośród wojennej pożogi, płomieni, prześladowań i mordów, powstało coś tak subtelnego, tak lirycznego.*

*Pozorna zbieżność faktów nie zmienia wcale mojej oceny tak zwanych przywódców naszego państwa. Cesarzem powodowała miłość, może ślepa, ale gorąca, szczerza, a co powoduje nimi? Ufam jednak, że nic nie jest w stanie zdeptać naszego romantycznego ducha i umiłowania prawdziwego piękna. Ufaj w to wraz ze mną, kochana Haniu.*

*Pracuję teraz, w oparciu o nowe dokumenty, nad jakim-takim uporządkowaniem spuścizny literackiej Wang Weia (posyłam ci fragment jego wiersza, w pięknym tłumaczeniu naszego Noblisty; o nas to, o podróżnikach są te strofy i jakże mi one bliskie), pozostawiając na razie na boku malarstwo i ocenę jego przyczynku do rozwoju malarstwa monochromatycznego. Nie jest mi łatwo narzucić sobie taki reżym, bo wpadła mi w rękę niedawno kopia jego obrazu tuszem, przedstawiającego krajobraz górski z wodą na pierwszym planie i dwiema ukośnie rozmieszczonymi plamami koloru: zieleni i ochry. Obraz mnie zachwyił i już-już chciałbym przenieść się do tej krainy. Tymi sprawami chcę się jednak zająć w drugiej części pobytu tutaj, który teraz wydaje mi się zbyt krótki.*

*Dowadywałem się dyskretnie, czy są jakieś szanse na to, aby bezpieka wypuściła cię z kraju i pozwoliła nam znowu żyć razem. Na razie chyba nie ma na to widoków. Wątpię, czy w ogóle zostawią Cię w spokoju, sądzę, że raczej nie pozwolą nawet kontynuować pracy w Zakładzie (przez wzgląd na mnie), ale może z oddalenia widzę przyszłość zbyt czarno. Tu w telewizji pokazują nam ciągle te same obrazy i płaczę, ilekroć widzę znajome miejsca, na przykład Kraków. Wczoraj zaniósłem do punktu trochę pieniędzy – zbierali na wysyłkę do Polski. Moje stypendium skromne, ale Wam stokroć trudniej (napisz, Haneczko, co potrzebujesz, postaram się przygotować paczkę i wysłać przez Kościół). Mnie, jak wiesz, dali wilczy bilet i każdy wopista prędzej mnie zastrzeli, niż wpuści choć na dwa metry w głąb kraju. Co robić dalej – nie wiem. Pytałem profesora Phafa, czy byłyby jakie widoki na profesurę w Lejdzie. Odparł*



*mi, że wiele zależy od przyjęcia mojej książki o epoce Tang i rozprawy o twórczości Wang Weia, więc pracuję dzień i noc.*

*To tylko mnie martwi, że pobicie pozostawiło jednak ślady. Mam znowu krew w moczu i jakieś dziwne, promieniujące do krzyża bóle. I jeszcze jedna sprawa budzi mój głęboki niepokój, pójdę więc zaraz po weekendzie do uniwersyteckiego lekarza, niech mi da skierowanie na parę badań. Jeszcze w szpitalu w Polsce mówili mi, że takie pobicie może wiązać się z powstaniem wewnętrznych urazów, ale nie potrafili ocenić tego miarodajnie, tu przecież jest jednak znacznie lepsza diagnostyka.*

*Co do Twoich wątpliwości, jak się teraz zachowywać, jak przetrwać, jak przez to godnie przejść – podpowiadam ci, że, moim zdaniem, najlepsza jest postawa wu-wei, 'niedziałania', zachowałaś to chyba z mojego wykładu o doktrynie Dao? Jeżeliby doszło do podejmowania decyzji – pamiętaj, że ważniejsze od osobistego sukcesu jest zachowanie twarzy...”.*

Hanna przerwała czytanie:

– To fragment drugiego listu Pawła z Holandii, pisany wiosną następnego roku (poczta kursowała przez zaufanego kuriera). Mój Paweł nie pisze tu, jak zakończył się ów burzliwy romans cesarza i pani Yang. Otóż Xüanzong poświęcił życie swej ukochanej dla ratowania spójności cesarstwa. Bezskutecznie, nawiasem mówiąc. Nie zawsze miłość triumfuje – dodała smutno Hanna – i nie zawsze da się nią wszystko uzasadnić. Przeczytam ci jeszcze ten wiersz Wang Weia:

*Kiedy moja łódź dosięga jeziora Xinze,  
Zdumiewa mnie to sławne miasto!  
Kanał wiję się koło wąskich drzwi na podwórza.  
Pełno ogni i kuchennych dymów wzdłuż wody.  
Obyczaje tego ludu są dla mnie dziwne.  
Nie rozumiem dobrze ich dialektu.  
Późną jesienią obfitość na polach.  
Światło ranka, zgiełk zaczyna się w murach miasta.  
Kury i psy. Wioski po obu brzegach.  
Steruję w stronę, która oddala mnie od obłoków.  
Dokąd mnie zanieśie mój żagiel samotny?<sup>3</sup>*

Pani Hanna odłożyła zapisane kartki:

---

<sup>3</sup> Wang Wei, *Żeglując, wpływam rankiem do Xinyang*, tłum. Czesław Miłosz.

– Kochałam te listy. Była w nich i poezja, i wnikliwa diagnoza systemu, i była też moc; one utrzymywały mnie przy życiu. Posłuchaj – sięgnęła do kasetki – w którymś z listów pisał tak:

*„... bo zwróć uwagę: peng w ich języku to ‘osunięcie się z boczna góry’. To słowo, żadne inne, oznaczało śmierć cesarza. Nie wolno było napisać wprost, że cesarz umarł. ‘Umarł’ znaczyłoby, że taki on sam, jak my wszyscy. A przecież był inny, był namaszczony przez Niebiosa i tylko on mógł składać im ofiarę i hołd. W jednej jedynej świątyni w stolicy. Taki też był aluzyjny język naszego systemu i taki sam system hołdowniczy. ‘Odszedł wódz rewolucji’. Czy widzisz jakąś różnicę?”*

– I dalej:

*„Za Pierwszego Cesarza mieszkańcom zakazano zmiany miejsca pobytu (czy to ci, Haneczko, czegoś nie przypomina?), legiści natomiast uważali, że narodowi należy najpierw zapewnić żywność, potem zbytek, a na końcu dopiero zatroszczyć się o jego nauczanie. Jakbym to wprost wyczytał z tajnych instrukcji komitetów. A powszechna korupcja, a fałszerstwa w czasie egzaminów państwowych, forowanie swoich popleczników? A zastępowanie starej rodowej arystokracji nową, w oparciu o zasługi wojenne? A najstarsza ustawa rasistowska, zakazująca wszelkich kontaktów z cudzoziemcami? Idźmy dalej: Wang Yangming, neokonfucjanista, który żył w XV-XVI wieku, proponował powszechne składanie samokrytyki i zalecał roztoczenie opieki nad donosicielami. Opieki, kochana Haniu! Nad donosicielami! Czy teraz dziwisz się, że pewien współczesny dygnitarz, Sun Yat-sen, powiedział kiedyś: ‘W Związku Radzieckim zbudowano społeczeństwo, o jakim marzył Konfucjusz’. Może widzę to jednostronnie, ale paralele są tak oczywiste...”*

Urwała.

– Te paralele czasami były zbyt oczywiste i on, jako człowiek o przenikliwej inteligencji, musiał zdawać sobie sprawę z pewnej jednostronności spojrzenia. Często był niesprawiedliwy w ocenie mistrza z księstwa Lu i jego następców. Ale, przyznasz sama, ciekawa analiza i niebanalne spostrzeżenia – Hanna włożyła listy do lakowej szkatułki. – Wyrzucili mnie z Zakładu Kultur Wschodnich, który po Pawle przejął jego zastępca, człowiek tyle zdolny i ambitny, co śliski i skory do ustępstw. „Brak szans naukowego rozwoju w związku z redukcją ilości kierowniczych etatów” – tak to motywowano. Żalotne. Potem pracowałam w bibliotece, między innymi z panią Fulińską, z którą niedawno piłaś śliwovicę (to porządna osoba, choć lękliwa), w końcu postanowiłam pożegnać się z uczelnią. Nie przeczę, że Paweł pomógł mi w podjęciu tej decyzji. Nie mogłam dłużej pracować w instytucji, która kojarzyła mi się z jego i moją krzywdą. A potem Paweł nagle przestał do mnie pisać i zniknął z mojego życia na kilka lat. To były okropne lata, Niko... Czy odnalazła się już ta dziewczyna, ta która zaginęła w

sobotę? Nie? Znaleźli zakrwawioną chustkę? To chyba jakaś straszna tragedia. Trzeba mieć nadzieję.

Do ostatniego koncertu zostało parę dni. De Francesco przyleciał już do Warszawy, bo odwołano jego występ w Berlinie i agent namówił muzyka na krótki, krajoznawczo-wypoczynkowy pobyt w nieznanym kraju. Nagle okazało się, że zamówione do Radzyna organy, model B-3, mają awarię i trzeba na gwałt szukać innych. Na szczęście na apel w internecie odezwało kilku posiadaczy B-3, C-3 i paru miłośników serii A-100, więc koncert Amerykanina wydawał się być uratowany. Stańko napisał, że wszystko u niego i jego trąbki w porządku, a on oraz kapela będą na czas. Przygotowanie pokoncertowego rautu był na głowie jubilatów, więc Dominika jedynie potwierdziła w Magistracie, że obaj muzycy nie zawiodą i zjawią się w ratuszu, by uświetnić i zaszczyścić, zaraz po zakończeniu imprezy. Odwiedziła jeszcze amfiteatr, pogroziła palcem niefrasobliwej ochronie, sprawdziła po raz dwudziesty akustykę, wstąpiła w końcu do małej tawerny przy Rynku na specjalność Radzyna – półmisek raków (tę kulinarną ekstrawagancję obiecywała sobie od dnia przyjazdu), zrezygnowała w ostatniej chwili, po zrobieniu wywiadu o sposobie przyrządzania potrawy, i pomaszzerowała do domu z solennym przyrzeczeniem odespania paru ostatnich przedłużonych wieczorów.

Spała już, gdy zadzwonił telefon. „Niko, przepraszam cię, kochana, tak mi przykro, na pewno cię obudziłam. Proszę, przyjdź do mnie i troszkę ze mną posiedź. Mam jakiś kryzys, to zaraz minie, ale teraz tak bardzo się boję”.

Pani Hanna otworzyła jej, ubrana w haftowany w cykady szlafrok. Na ramiona narzuciła jeszcze ciepły pled.

– Marznę, cała trzęsę się z zimna. Ale to nie jest zwyczajny chłód, w mieszkaniu jest całkiem ciepło. Ten idzie ze środka. Czy ja już umrę, Niko? Nie mogę, nie mogę. Nie teraz.

Dominika zrobiła jej herbaty i namówiła do rozebrania się i położenia do łóżka.

– Tak, świetnie. Proszę usiąść wysoko, położę pani mnóstwo poduszek pod plecy, o, tak, dobrze, a teraz proszę powoli popijać herbatę. Zaparzyłam tę czarną z owocami wiśni, ona tak świetnie rozgrzewa. Pamięta pani, jak mi ta wiśnia pomogła, gdy czułam się przeziębiona po wyjeździe do Olchowca? A teraz zmierzmy temperaturę, gdzie trzyma pani termometr? Dobrze, nie będziemy zapalały górnego światła. Tylko lampka nocna. Widzę nowy obraz, pejzaż. Góra przypomina tę, która zamyka dolinę koło Olchowca, tylko że jest niebiesko-fioletowa. Ładna i tajemnicza. Skąd pani wzięła te kolory?

Temperatura była w porządku. Nika usiadła na skraju łóżka i wzięła Hannę za rękę. Kobieta powoli przestawała drzeć, a jej twarz nie wydawała się już tak upiornie blada. Nawet spróbowała się uśmiechnąć.

– Narobiłam kłopotu. Jesteś dobrym dzieckiem, Niko. Jaka szkoda... W pawlaczu w pokoju z feniksami są takie cieniutkie materace, one nazywają się... „karimaty”, o, tak właśnie. Czasem się na nich relaksuję. Czy, czy mogłabyś tu zostać? Jest już prawie druga, spróbujemy zasnąć. Obiecuję, że już będę grzeczna. Nie mam budzika, ale zawsze budzę się przed siódmą, czy to wystarczy? Jeszcze jedna prośba, tylko się nie śmieję, proszę. Na biurku w tamtym pokoju leżą chińskie bajki. To stare wydanie, sprzed pół wieku. „Pięciu braci Li”. Mogłabyś przeczytać jedną z nich? Bajki są dobre na zaśnięcie. Tylko nie czytaj tej o... Której? Sama zobaczysz. Pytałaś o górę? To moje wyobrażenie góry Tai, najświętszej ze świętych. Kolor to kwestia umowna. Podobnie jak światło czy perspektywa. Podobieństwo nie jest celem, celem jest ideał. Nie mogłam pisać o ich malarstwie, to chociaż chcę go uprawiać. Czy to nadmiar bezczelności? Nalej jeszcze wody do miski Pana Lu. Dużo dziś pije.

Sen nie przychodził ani do niej, ani do Hanny.

– Czy już lepiej, czy... już się pani nie boi?

– Ten okropny chłód już sobie poszedł. Przez chwilę wydawało mi się, że umieram. Ale już jest dobrze. Dzięki tobie i... Pawłowi. On też tu teraz jest, wiesz? Choć czasami mnie zostawia i gdzieś ucieka. Nieśmiertelni mają swoje sekretne sprawy i nie zawsze można na nich liczyć – mówiła cicho.

„Bo on stał się nieśmiertelny. Nie wierzysz mi, prawda? Myślisz, że zajmowałby się tym wszystkim, ot tak, przez zwykłą ciekawość? Zwykłą ciekawość badacza? Tyle lat?

Opowiadałam ci, że straciłam z nim w pewnym momencie kontakt. To było około roku osiemdziesiątego ósmego czy dziewiątego; modliłam się wtedy za tych na Tiananmen. Szykowaliśmy się, żeby spotkać się nareszcie, po siedmiu z górą latach. Boże, jak ja na tę chwilę czekałam. I nagle Paweł przestał pisać, a mój list wrócił z adnotacją, że profesor Adamik już w Lejdzie nie pracuje. Jego przyjaciel (ten Phaf, pamiętasz, Paweł wspomina go w liście) napisał mi, że profesor Adamik z dnia na dzień rzucił katedrę; zostawił jakieś wykrętne wytłumaczenie i tyle go widzieli. Wyjechał do Australii, do jakiegoś podrzędnego college’u. Nawet adresu nie zostawił. Phaf twierdził, że Paweł nie mógł już wytrzymać ciągłych kłótni z profesorem Willemse i oskarżeń o szerzenie naukowych herezji. Ten Willemse to był podobno wielki autorytet sinologiczny i (wiem to z wcześniejszych listów) wielki nieprzyjaciel Pawła

poglądów. Phaf uważał jednak, że Paweł od dawna już musiał szykować ten exodus i że coś się za tym kryło. Otóż kryło się, i zaraz zobaczysz – co.

Minęło parę lat, może więcej. Straciłam już nadzieję, że kiedykolwiek usłyszę jeszcze o moim ukochanym, aż któregoś dnia listonosz przyniósł mi list. To nie był list do mnie, ale na mnie preadresowany. To był list Pawła do jednego ze swych dawnych kolegów w Polsce! Wszystko tam opisał: i naszą miłość, i przymusowy wyjazd z kraju, i pobyt w Holandii, osiągnięcia i spory naukowe (rozliczne, ten o Xüanzonga był ich ledwie początkiem), niechęć środowiska, nawet ostracyzm, wreszcie wyjazd, prawie ucieczkę na drugą półkulę, w końcu, po długim czasie, pogodzenie się z odwiecznymi wrogami. Jego *historia calamitatum*. Płakałam całą noc i czytałam ten list ze sto razy. Wynikało z niego, że mój ukochany trafił w końcu na Tajwan. Na Tajwan, skąd już są tylko dwa kroki od jego ukochanego kraju! Tam znalazł pracę i, co ważniejsze, mógł kontynuować swoje badania. Na Tajwanie rezyduje „papież taoistów”, spodziewam się, jakie to musiało na Pawle wywrzeć wrażenie. Dla mnie jednak najważniejsze było to, że nigdy nie stała między nami żadna kobieta. Dla niego istniałam tylko ja jedna. Czemu więc los nie pozwolił nam być razem? To już pytanie do Losu. Nasze Dao widać wiodły obok siebie, blisko, bliźniutko, ale jednak obok. I tak już miało pozostać. Odważyłam się napisać. Odpowiedział. Odpowiedział! Pisaliśmy do siebie, jak młodzi kochankowie, jeszcze jeden list nie doszedł, a już wysyłałam następny. Te listy od niego trzymam w tej czerwonej szkatułce, zawsze są koło mnie, gdy zasypiam. Paweł przysłał mi te wszystkie piękne przedmioty; mój cudny seladon też jest oczywiście prezentem od niego. Potem nadeszły pieniądze, dużo pieniędzy. Postanowiliśmy, że wróci tu na stałe, kupimy mieszkanie, a potem razem wybierzemy się na wielką wyprawę nad Dwie Rzeki. Pojedziemy do Jingdezhen obejrzeć porcelanę, zobaczymy malowidła w Dunhuangu, starożytny Luoyang. I będziemy się kochać, kochać, leżąc w kwiatkach lotosu, słuchając słowików, wdychając zapach peonii i kwitnących śliw.

Nic z tego nie wyszło. Wypadek, wieczorem, w czasie powrotu z niedzielnego wyjazdu; ciemno, ślisko, samochód spadł ze stumetrowej skarpy do morza, ciała nie odnaleziono. Ale on nie umarł, wiesz? Ciało może i tak, ale to pozorna śmierć, która daje prawdziwą nieśmiertelność. Znaną z dawnych opisów. Muszę ci powiedzieć, że Paweł ostatnie lata życia poświęcił na studiowanie ich medycyny, o której skuteczności był coraz bardziej przekonany, i – jestem pewna – choć nie pisał tego wprost (tajemne sprawy, rozumiesz sama), również na badanie tamtego. Był przecież u źródeł. Ja również czytałam to i owo. Przedtem i... potem. Otóż najlepsza jest kombinacja metod: fizjologicznej i duchowo-etycznej (dobry eliksir też nie jest od rzeczy). Więc przede wszystkim dieta i posty. Należy precyzyjnie opracować sposób

odżywiania, który zapewni spokój trzydziestu sześciu tysiącom duchów, jakie rezydują w naszym ciele. Żadnych potraw mącznych, mięso wykluczone, dużo owoców, ziół, orzechów, cynamonu, rabarbaru, brzoskwiń. Z biegiem czasu człowiek, który przygotowuje się do nieśmiertelności, powinien zacząć wydłużać posty i czynić je coraz częstszymi. Doskonała dieta to rosa i wiatr (członkowie sekty Quan-shen nie jedli nawet owoców i nie pili herbaty), ale słabsi i mniej wytrwali mogą spożywać niewielkie ilości pokarmów. Dobre są daktyle. Do diety należy dodać gimnastykę, ćwiczenia oddechowe i relaks. I miłość. Opanować sposoby oddychania niektórych zwierząt: żółwia, bociana i innych, znanych ze swej długowieczności. Opanować ruchy i sposoby poruszania się tygrysa, niedźwiedzia, różnych ptaków. Dobre jest złoto alchemiczne, niezły też cynober. Jeśli mieszać go z miodem w odpowiedniej proporcji i brać sporządzone z obu składników pigułki – odrastają zgubione zęby, włosy odzyskują blask i kolor, z wolna wraca utracona młodość, w końcu człowiek staje się nieśmiertelny. Ważny był wszakże również pokarm dla duszy: kontemplacja, kontakt z duchami, spełnianie dobrych uczynków, życie w pełnej zgodzie z naturą i ludźmi. Transformacja powłoki cielesnej w duchową, niematerialną dostępna była nielicznym, wybranym. Akt przemiany był czymś tak wzniosłym, tak świętym, że nie mógł być ot, tak po prostu, zaobserwowany, nikt nie mógł powiedzieć o nim nic wiarygodnego. Człowiek znikał, rozpływał się, dematerializował. Więc jestem pewna, że...

I jeszcze coś.

Posłuchaj: 'Na wschód od zatoki Pohai – w odległości nie wiadomo ilu milionów stajają – jest wielki parów, który naprawdę jest doliną bez dna. Wszystkie wody ośmiu regionów i dziewięciu prowincji, a także bieg Niebiańskiej Rzeki tam się wlewają... Drzewa pereł i granatów rosną tam kępami. Kwitną i mają owoce o przyjemnym smaku, kto je spożyje, ten się nigdy nie zestarzeje i nigdy nie umrze; ludzie tam mieszkający są nieśmiertelnymi mędrkami'. Na wschód od zatoki Pohai, to może być gdzieś w okolicy jego Wyspy, prawda? Śpisz już Niko?'

Koncert okazał się wydarzeniem. Muzycy na koniec zagrali jeszcze razem Coltrane'a „White night” i po ostatnich dźwiękach widzowie tłumnie wysypali się w alejki parkowe. Rajcy miejscy i władze Szkoły zaplanowali uczynić ostatni dzień festiwalu centralnym wydarzeniem obchodów jubileuszów – park miejski oświetlono lampionami, na latarniach i drzewach rozwieszono girlandy kwiatów, na parkowych placykach i skwerach rozstawiano ogródki piwne, na schodach przed wejściem do teatru przedstawiano żywe obrazy z dziejów miasta, koło sadzawki przygrywała do tańca szkolna orkiestra, dziewczyny w regionalnych

strojach i studentki w białych czapkach rozdawały darmowe słodycze, a niektórym również darmowe buziaki. Nikt nie narzekał, nikt się nie skarżył, studenci mieszały się z mieszkańcami Radzyna, ciepła czerwcową noc odurzała zapachami zabawy i powszechnej miłości. Wystrzelono kolorowe race, po czym znaczniejsi, znamienitsi goście dostojnie przeszli do ratusza na raut. W tłumie gości Dominika dostrzegła panią Grażynę, Gejera, siostry z Olchowca, nie widziała tylko radcy Baczko. Z kopiastym talerzykiem rozmaitych sałatek podeszła do „swoich” muzyków. Joey pałaszował górę jedzenia, skomponowaną według zasady: „wszystko, jak leci, liczy się kolor, folklor, faktura i wrażenie ogólne”.

– *Hi Joey. And how do find...?*

– Przepraszam, czy pani Kolna? – zza pleców De Francesco wyłonił się policjant w mundurze.

– Tak, to ja. Czy coś...?

– Proszę za mną. Szukam też pani Lipowicz, właścicielki kamienicy za kościołem. Tylna 3.

Podjechali do domu policyjnym samochodem, po drodze minęli pędzącą na sygnale karetkę pogotowia. Hanna tkwiła w drzwiach swojego mieszkania. Dygotała i trzęsła się, rękami zakrywała twarz. Na widok Dominiki zaczęła krzyczeć histerycznie:

– Spalił się, on się spalił. Niko, on się spalił. Niko, Niko, ratuj!

Drzwi mieszkania radcy Baczko były uchylone. Ze środka dobywał się przykry zapach spalenizny. Po chwili z mieszkania wyszedł niski mężczyzna o zmęczonej, ponurej twarzy i zwrócił się do dziewczyny:

– Pani, zdaje się, jest krewną albo znajomą tej pani. Proszę coś z nią zrobić. Niech ona tak nie krzyczy, niech ona tak nie wrzeszczy. Głowa mi pęka. Bredzi coś o jakimś lisie. Lis? Jaki lis? Już dostała zastrzyk uspokajający. Pielęgniarski powiedział, że za chwilę będzie spała jak dziecko. Na razie niech pani z nią zostanie, a potem proszę przyjść do pani Lipowicz. Chcemy zadać wam kilka pytań. Panu też – zwrócił się do Gejera, który wynurzył się z cienia.

Za Gejerem, w bezpiecznej odległości, stała mała dziewczynka. Kołysała w ramionach pluszowego misia i cicho, uspokajająco do niego przemawiała.

Dominika ostrożnie pomogła pani Hannie wejść do łóżka, położyła się obok niej i przytuliła do siebie. Hanna powoli uspokajała się. Odetchnęła głęboko:

– Niepotrzebnie tak się zdenerwowałam. Ogień to piąty element. Mistrz Purpurowej Sosny posiadał umiejętność wchodzenia w ogień i spalania się. Wstąpił raz na górę Kunlun i zatrzymał się w grocie Matki Królów. Poszła za nim córka Płomiennego Cesarza i też stała się nieśmiertelna. Spalili swoją cielesną powłokę. Ja go chyba znałam, z uczelni, tego...

człowieka. Czy sądzisz, że on zrobił to celowo? Na pewno poprosił o pomoc lisa. Wystarczy, że taki lis praśnie ogonem o ziemię i już jest pożar.

„Zasnął w łóżku z papierosem. Musiał niemało wcześniej wypić. Przez to chyba nic nie czuł. Łóżko zapaliło się, a on od tego łóżka. Dobrze, że starsza pani Fulińska poczuła swąd spalenizny i podniosła krzyk; inaczej cała chałupa poszłaby z dymem. Stropy i schody są drewniane. A tak zniszczenia niewielkie. Dobrze, że byli ci ludzie na drugim piętrze, to oni ugasili ogień. Pogotowie zabrało go razem z materacem i pojechało na oparzeniówkę. Szczęściem mamy tu taki oddział; otwarli go, bo w kopalni pod Górą czasem zdarzają się wypadki. Jeszcze żył, ale szanse podobno niewielkie. Nie, nie był przytomny. Czy pani знаła radcę Baczeko? Przepraszam, muszę wszystkich spisać. Więc nazywa się pani Dominika Kolna i mieszka tutaj czasowo? Bez meldowania?”.

\*

– Dzień dobry, to już jutro nas pani opuszcza? A odwiedzi nas pani jeszcze kiedy? No, pan radca zmarł wczoraj wieczorem. Podobno nie cierpiał, cały czas był nieprzytomny. Ale kto to wie naprawdę? Wygląda na to, że czekał z odejściem na przyjazd syna. Mały z Anglii przyleciał samolotem, a jak tylko usiadł przy łóżku ojca, tak ten wziął i od razu zmarł. Chryste Panie, co to za nieszczęście – pani Grażyna stała przed domem i pokazywała Arkowi, gdzie jeszcze powinien pozamiatać. – Tak okropnie mu się zmarło. Oj, oj. Jeszcze tu, i tu, niezguło jedna – zniechęcona machnęła ręką. – Pogotowie ratunkowe p r z e d moją kamienicą – wrzuciła ramionami. – Jutro przyjdą z PZU ocenić szkody, chwała Bogu, że dom jest ubezpieczony. A gdzie to pani się wybiera, taka elegancka? Przepraszam, że tak pytam... Z Gejerem, na obiad? Do „Nadrzecznej”? O, to bardzo g r z e c z n a restauracja. I droga. A niech go pani oskubie – pani Lipowicz nie była dobrze dysponowana od czasu tragicznego wypadku radcy. – Będzie padać, ma pani parasol?

– Więc zmarł?

– Umarł.

Ledwo zdążyła przed pierwszymi kroplami. Deszcz nie padał, deszcz lał się z nieba strumieniami, jakby chciał powetować sobie parę dni abstynencji. Obiad podano na zadaszonym tarasie, skąd widać było port i cumujące u brzegu rzeki barki. Spławny odcinek rzeki Czarny kończył się w sąsiednim Olchowcu, ale główny port przeładunkowy był tu, w Radzynie. Oboje zamówili pstrągi i przez chwilę zajęci byli wyciąganiem ości, wyciskaniem cytryn, rozpuszczaniem masła na dzwonekach ryb.



- Nie sędzę, aby to była kurtuazyjna rozmowa – Dominika przerwała milczenie.
- I nie jest – Gejer nie przerwał jedzenia. – Najpierw rzecz publiczna, potem rzecz prywatna. Osobista. Ta druga jest dla mnie daleko ważniejsza, ale wcześniej należą się pani pewne wyjaśnienia. Przypadkiem została pani uwikłana w historię, której tak zwane życie dopisało parę dni temu nieszczęśliwy epilog. Ale czy to już epilog? – przerwał na chwilę. – Nie, nie panią pytam. Pytam siebie. Ale nawet ja tego wiem.
- Nawet pan? A kimże pan jest, do diabła?
- Cicho, niech pani zbyt głośno nie mówi jego imienia. Jestem poniekąd jego sługą. Od lat.

„W końcu lat siedemdziesiątych skierowano mnie na – jak się wtedy mówiło – ‘odcinek uczelniany’. Na dokładkę szkoły średnie i jeszcze teatr. Radzyń to nie był Kraków, chociaż bliskość metropolii sprzyjała przenikaniu różnych toksyn. Studenta Pyjasa pani pamięta? No właśnie. Z Radzyna też paru ambitnych pojechało, niby po kryjomu, na pogrzeb; manifestację chcieli z tego zrobić. Czemu patrzy pani na mnie krzywo? Niech pani posłucha: w każdym systemie potrzebna jest policja polityczna. Taka Sûreté na przykład albo w FBI w Ameryce. Policja polityczna była, jest i będzie. Była za Nerona, jest teraz, gdy rządzi prawica, będzie za sto lat, gdy już ani mnie, ani pani nie będzie na świecie. Policjant to egzekutor porządku prawnego, nieważne jakiego. Chyba że chcemy anarchii. Chce pani? No właśnie. Ale to praca mrówcza, niewdzięczna, świątek, piątek na nogach. Bywało, że na własnych urodzinach siedziałem o suchym pysku. Aha, już kiedyś to mówiłem. Tak to we mnie siedzi. No, a mało to razy człowiek był opluwany? Kto to teraz zrozumie? Przecież nie wy, cywile. A jak nam potem odplacono? Mało to ludzi skrzywdzono? Mnie akurat nie, ale innych! Czy utrzymuję teraz kontakty z dawnymi kolegami? Wybacz pani, nie odpowiem na to pytanie. No wystarczy, miało nie być o mnie, tylko o nich.

Do strajków w roku 80. było u nas w miarę spokojnie, wszystko pod kontrolą, struktura – że tak powiem – ułożona. Oficjalnie miałem etat w administracji, bez konkretnego przydziału, mogłem więc bez przeszkód zaglądać to tu, to tam. Ale po Sierpniu zaczęły się fermenty. Najgorzej rozrabiali ci młodzi na naukowych etatach. A rej wodził docent Adamik, świeżo pozyskany z uniwersytetu z Krakowa. Wschodząca gwiazda nauki polskiej, specjalista-sinolog, już w świecie znany, dla naszej szkoły bardzo cenny nabytek, bo kadrowo WSNH była dość słaba w tamtych czasach. Powiem pani, że i teraz nie jest lepiej. Ale zawsze te ambicje! Ad rem, ad rem. Wydawało się więc temu Adamikowi, że jest bezkarny. Wykłady organizował, różnych Michników i Kuroniów zapraszał. Tischnera też ściągnęli – tego to nawet poważałem, bo ja, proszę pani, szanuję człowieka nawet o skrajnie odmiennych

poglądach, jeżeli trzyma się ich konsekwentnie. No, Tischner skrajny nie był, ale tamci inni – tak. Mnożyły się różne kółka dyskusyjne, powstawały wolne związki i zrzeszenia, wychodziły niezależne gazetki, a wszędzie nos wścióbiał Adamik. Z gówniarzami z NZS się skumał, a ci widzieli w nim wodza. Nasz, świętej pamięci Baczek, też chodził w orszaku pana docenta.

Na szczęście dla nas, a na nieszczęście dla siebie przygruchał sobie pan docent studentkę. Naszą Hanię. I zrobił jej dziecko. Wzięli po kryjomu ślub, a dziecko umieścili u jego siostry. Myśleli, że są bardzo sprytni. Zaprosiliśmy więc docenta na rozmowę ostrzegawczą, ale nas wyśmiał. Trochę mu mina zrzędła, gdy powiedziano, że na Ujocie takie romanse nie są dobrze widziane, bo to uczelnia z zasadami i – że tak to określe – z kręgosłupem moralnym. A że on ciągle o powrocie do Krakowa myślał, to mina mu zrzędła, ale dalej swoje. Co było robić? Był tam taki jeden w Szkole, nasz człowiek, który szczególnie na docenta był zacięty, z pobudek – że tak powiem – osobistych. To on zaproponował, żeby trochę Adamika postraszyć. Byli też i inni, co mieli do niego żal. Nieważne. Ważne, co się stało. A stało się źle. Zamiast go trochę pogonić i czuprynę mu kapkę zmierzwić – pokieroszowali chłopca odrobinę za mocno. Coś mu tam uszkodzili, a co, to się miało okazać już później.

Dobry ten pstrąg, świeżutki, a nie mówiłem, że mają tu świetne ryby? A węgorze! Do ryby zaś najlepszy kieliszeczek czystej. Pani zdrowie. Mojego nie pijmy.

Taak, trafił Adamik do szpitala, bez życia parę dni leżał, potem jeszcze słabował, ale w końcu się ocknął, bo akurat przyszło zaproszenie na stypendium do Holandii, na Wolny Uniwersytet. Nam w to graj – jednego mąciwody mniej. Nie robiono mu przeszkód, paszport służbowy od ręki dostał, nawet z rozmowy pouczająco-wyjaśniającej i instrukcji zrezygnowano, byle go mieć z głowy. Pojechał – i pewnie wie to pani od Hanny – już nigdy nie wrócił. Zna pani tę historię, prawda? Od babci Fulińskiej i od samej Żmigrodzkiej? Ale chyba z innej strony?

On pojechał, a ona została tutaj. Ja to nawet byłem za tym, żeby ją puścić, ale mój zwierzchnik się uparł. ‘Pokażemy palantowi, że władza ma długie ręce i taką samą pamięć’. Pisali do siebie, znam te listy, większość z nich przechodziła przez moje biurko. Ona skarżyła się i tęskniła, on podtrzymywał ją na duchu i zachęcał do wytrwania. Ale wszystkiego jej nie napisał. Tego mianowicie, że chłopaki, które go tak mało uprzejmie potraktowały nad rzeką, uszkodziły mu przy okazji coś ważnego. Ważnego dla każdego, kto chciałby założyć rodzinę, kochać się z żoną, mieć dzieci. Niech pani słucha: on to cały czas przed nią ukrywał, do momentu, kiedy nasi oddali władzę w Magdalence i granice się otwały. Dłużej przecież nie mógł udawać, więc zniknął. Dla niej – wyparował jak kamfora. Dla mnie – odnalazł się niedługo potem w Australii. Potem przeniósł się dalej (mylił tropy!) i podjął pracę na jednym

z uniwersytetów w Taipei. Skąd to wiedziałem? Czy nie mówiłem, że policja polityczna to jedna rodzina? Mamy takie – jakby to powiedzieć – poczucie wspólnoty. ‘Porozumienie ponad granicami’, he, he.

Odchodziłem akurat na emeryturę i... pomyślałem sobie, że mogę w sumie dla nich coś zrobić. Poniekąd byłem ich aniołem-stróżem. Trafił wtedy w moje ręce list profesora Adamika do jednego z jego dawnych kolegów w Polsce. Tak się złożyło, że Służby interesowały się tym drugim dżentelmenem z przyczyn – że tak powiem – politycznych. Ten pan kandydował na ważny urząd w państwie, a że miał różnorodne, czasem dość zastanawiające kontakty, więc prześwietlano od czasu do czasu jego korespondencję. Kto taki? Wolałbym nie mówić. Wszystko było za przyzwoleniem pana prokuratora, *lege artis*, bo ja zawsze starałem się działać zgodnie z prawem. Co to ja...? Aha, przeadresowałem ten list na panią Hannę i poczułem się jak dobra wróżka. Cóż, kiedy Paweł Adamik zginął niedługo potem w wypadku samochodowym. Albo...

Ale Hanna w to nie wierzy do dziś, prawda? Straciła całkiem rozum.

To może teraz kawa? A co powiedziałyby pani na ciastko? Albo krem? Krem! Tiramisu będzie w porządku? Panie starszy!

A teraz, a teraz sprawa osobista. Widzi pani, Niko, na każdego przychodzi kres. Na złego i na dobrego. Bez różnicy. Nieważne, czy kot jest biały, czy czarny, byle łowił myszy. Ja swego życia nie żałuję, choć mnie czasem pytali, czy znów wybrałbym Służbę, gdyby życie zaczynało się od początku. Powiem pani tak: niczego bym nie zmienił, niczego. Może – zakaszlał – gdybym był pewny, że się wtedy, w 81. nie pozabijamy, to może bym się inaczej do tego ustawił. Ale kto miał wtedy taką pewność? No, kto?

Ad rem, ad rem. Wie pani od siostr Fulińskich, że mam wychowanicę. Magda ma sześć lat, sześć skończyła w marcu. To... moja wnuczka. Spyta pani, gdzie jest jej matka? Nie wiem. Cóż, może i wiem. Na pewno gdybym bardzo chciał, to bym się dowiedział. Ale nie chcę. Ona dla mnie nie istnieje. Do rzeczy, do rzeczy. Widzi pani, denerwuję się – ja, doświadczony frontowiec. Ach, co ja mam czasem z tą małą – Gejer coś sobie przypomniał. – Byliśmy niedawno u mojej kuzynki. Ma tyle samo lat, co ja. Ta kuzynka to pełny *bon-ton*, w domu rozmawiała z mężem po francusku. Ma kota, persa. Ładne zwierzę, wypielęgowane, odżywione. Wskoczył na kolana mojej Magdy, a ona: „Ej, Puszek – przepraszam panią – Puszek, spierdalaj!”. Z przedszkola przyniosła. Moja krew, dzielna mała – roześmiał się głośno. – No, ad rem – spoważniał, podniósł laskę opartą o krawędź krzesła i stuknął nią głośno o podłogę. – Niech pani słucha: jestem bardzo chory. Nie, to nie żart. Faza schyłkowa, lekarz daje mi trzy–cztery miesiące. No – powie ktoś – stary już jest, może wystarczy? Nie

byłoby kłopotu, gdyby nie to dziecko. Widzi pani, gdybym nie chodził na te spacerunki i położył się do łóżka – już bym pewnie umarł. A nie mogę, jeśli nie załatwię tej ostatniej sprawy. Jest tak: mam tu znajomego sędziego, ten człowiek jest mi bardzo zobowiązany za pomoc w pewnej sprawie z przeszłości. Zrobimy, jak powiem, pod warunkiem, że się pani zgodzi pomóc...”.

Po powrocie do domu podeszła do drzwi Hanny. Chwilę stała niezdecydowana. Zapukała. Cisza. Zapukała jeszcze raz, głośniejsze. Zza drzwi dobiegł ją stłumiony głos, jakby syk:

– To ty? Odejdź, odejdź i nie wracaj. Co ty sobie wyobrażałaś? Że zajmiesz u boku Pawła moje miejsce? Nie było innej kobiety w jego życiu i uwierz mi: innej nie będzie. – Pamiętasz cesarzową Lü? Pamiętasz, co przydarzyło się jej rywalce? Paweł jest mój – syk zmienił się w łagodny szept. – Cóż z tego, że nie widuję go często? Niebiańskiej Tkaczce wystarczył jeden dzień w roku i mnie też wystarczy. Ten dzień przyjdzie znów niebawem. Sroki już budują dla mnie most. Ubiorę najpiękniejszą suknię, głowę nakryję szalem przetykanym złotą nitką, w uszach będę miała kolczyki z pereł, na palcu złoty pierścień, a w oczach blask płynnego nefrytu. Na brzegu Zachodniego Morza rośnie samotne drzewo morwowe, ma czerwone, gęste liście i dorodne owoce. Kto zje owoc z tego drzewa, ten długo będzie pięknym i młodym. Mój Paweł przyniesie mi ten owoc, będzie po niego żeglował siedem dni i siedem nocy. Zdobędzie jeszcze eliksir bogini Xiwangmu. Jedyne prawdziwe dar życia i miłości. Zażyj go i jak Heng-O odlecimy na księżyc. Odejdź, odejdź i nie wracaj. On jest mój.

\*

Dominika wstała z fotela.

– Boże, już dwunasta. Aleśmy się zasiedzieli. No, córeczko, myjemy zęby i idziemy spać. Jutro dokończę opowieść, to już prawie wszystko.

Wyjrzała przez okno. Przez podwórko rażnym krokiem szedł radca Baczek. Trzęsła mu się szczurza bródka, ale wesoło kręcił torbą na długim pasku. Gejer stał przed wejściem do domu, podparty laską, i palcem pokazywał na wieżę kościelną. Dzwon dudnił fałszywie: „bom-bom”. Siostry Fulińskie zamiatały dziedziniec, niezguła Arek w wyjściowym garniturze w jodełkę pokazywał im: „Jeszcze tu, i tu, i tu”. Anna, Olga, Natasza i młody Jakowicz grali kwartet skrzypcowy, a wiatr rozwiewał im nuty. Celina i Joanna słuchały i kiwały zachęcająco głowami: „Dobrze, bardzo dobrze, doskonale, celująco”. Marcin Wilk zmienił się w błękitnego królika i wskoczył na ręce pani rektor, która głąskała czule jego futerko. Hanna, schowana pod parasolem, piła rosę z maleńkiej filiżanki. Filiżanka urosła, na jej powierzchni

pojawiły się spękania i filiżanka zmieniła się w zielone marmurkowe jajko. Jajko upadło na ziemię, Pan Lu przyskoczył, połknął je i oblizał się. Przygalopował mały zielony jednorożec. Rozglądnął się i wskoczył na ręce Hanny. Al bębnił palcami o szybę w mieszkaniu na parterze, a Joey opychał się ogromnym kawałkiem placka, który popijał śliwownicą, wprost z butelki. Karolek Lipowicz patrzył na to z boku nienawistnie. Opodał smutnego, więdnącego drzewka dwie, a może trzy dziewczynki z wielkimi jak motyle kokardami we włosach bawiły się w klasy. Białe linie namalowane na czerwonej kostce pojawiały się raz w jednym, a raz w innym miejscu. Marszałek Dworu zadzwonił jak budzik. Małe odwróciły się nagle i pomachały jej rękami. „Ile nas jest, ile nas jest, ile nas widzisz? Raz i dwa, a może trzy, szukam ja, szukasz ty”. Lampa oświetlająca podwórko zamigotała i zgasła.

Dominika zasunęła kotarę.

– Boże, już dwunasta. Aleśmy się zasiedziały.

– Mamo, na biurku pod książką znalazłam mały karteluszek. *Legenda o Tkaczce i Pasterzu*. Przeczytać?

„Na wschód od Niebiańskiej Rzeki mieszkała Tkaczka, córka Władcy Niebios. Całe dni tkąca z jedwabiu chmur niebiańskie szaty, aż któregoś dnia zobaczyła Pasterza, który mieszkał na zachód od Niebiańskiej Rzeki i... zakochała się w nim bez pamięci. Ulitował się dobry Władca Niebios i zezwolił córce na poślubienie Pasterza. Młodzi małżonkowie zamieszkali po zachodniej stronie i byli bardzo, bardzo szczęśliwi. Zapomniała jednak Tkaczka o swych obowiązkach i zaniedbała niebiańskie tkanie. Rozzłościł się Władca okropnie i polecił córce wrócić na wschodnią stronę. Raz w roku może tylko odwiedzać swego ukochanego. Przeprawia się wtedy przez Niebiańską Rzekę, a most dla niej budują sroki”.

– Jest dopisek, małymi literami. Przeczytać?

„Sroki, droga Niko. Sroki, nie lelki”.

\*\*\*

W tekście przyjęto dla chińskich nazw międzynarodową transkrypcję *pin-yin*.

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty z książek Mieczysław J. Künstlera:

na str. 15 – *Pismo chińskie*, wyd. PWN, Warszawa 1970

na str. 16 – *Dzieje kultury chińskiej*, wyd. Ossolineum, Wrocław 1994

na str. 33 i 38 – *Mitologia chińska*, wyd. WAiF, Warszawa 1985